



**N<sup>o</sup> 395.**

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

**Warszawa, 20 kwietnia 1867 r.**

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

**TOM XV.**

**TREŚĆ NUMERU.** Chrystus Pan w Ogrójcu (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Korespondencya od redakcyi. — Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe. — Dwie matki (drzeworyt). — Zabytki archeologiczne w skarbcu krakowskim (z drzeworytem). — Kronika zagraniczna (dokończenie). — Antoni Kątski (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — O estetycznym wychowaniu kobiet (dalszy ciąg). — Ze świata muzycznego. — Życie za życie (powieść pani Waleryi Morszkowskiej). — Antoni Oleszczyński (dalszy ciąg). — Poczciwy osioł (bajka).

**Chrystus Pan  
w Ogrójcu,**

plaskorzeźba Wita Stwo-  
sza.

Stosownie do opisu ewangelii, dzieło to wyobraża grootę w opoce na górze Oliwnej, gdzie Chrystus po ostatniej wieczery modli się na wzniesieniu, podczas gdy u spodu skały uczniowie jego Piotr, Jakub i Jan śpią znużeni na miejscu które dotąd nazywają tam poduszkami 3ch apostołów. Z prawej strony widać wznoszącego się u góry anioła, pokrzepiającego obecnością swoją Syna Bożego, z lewej zaś, w samym kącie opoki, w otworze po wykutych wschodach zstępują prowadzeni przez Judasza siepacze, dla pojmania Zbawiciela.

Piękną tę pracę rzeźbiarską na kamieniu, wysokości łokci 2 i pół mającą, odkrył pierwszy czcigodny Nestor sta ro ży tni ków polskich Ambroży Grabowski, któremu w ogóle przed innymi należy się zasługa zwrócenia uwagi ziomków na wszystkie utwory wielkiego mistrza krakowskiego.



Według jego zdania, lubo niema na to żadnego piśmiennego dowodu, tudzież śladu zwykłego godła (monogramu) artysty, plaskorzeźba ta, osadzona teraz w murze kamienicy na cmentarzu kościoła Panny Maryi, jest jednym z najwcześniejszych dzieł Wita Stwoza wykonanych w Krakowie, które zdolność jego w sztuce bliżej poznać dało. Wątpić o tym nie dozwala wydłutowanie szczegółów i podobieństwo szkoły podług jakiej artysta pracował i jaką dalej rozwijał przy rzeźbieniu arcydzieła swego, wielkiego ołtarza w tymże kościele znajdującego się.

Wistocie uważne porównanie Ogrójca ze wspomnianym jego utworem wskazuje tę samą rękę, manierę i sposób wykonania. Mianowicie rysunek, draperye sukien i postacie osób są uderzająco tożsamości.

Plaskorzeźba ta niegdyś umieszczona była w kaplicy Ogródziec zwaną, na cmentarzu przy pobliskim kościele św. Barbary istniejącej, jak tego dowodzą

CHRYSTUS PAN W OGRÓJCU. Rzeźba kamienna Wita Stwoza, osadzona w murze na cmentarzu kościoła Panny Maryi w Krakowie.







w gruzach ojca kamienicy. Sam zaś aptekarz był Ezop z postaci i pijak tak wsławiony, iż podobno od niego poszło przysłowie: *Pijany jak Sztok.*

Nakoniec jak Zabłocki zarobił na mydle, więcie zapewne, ale o zarobku Trentowskiego na jaskach nie każdemu wiadomo. „Więc około 1825 r., za świetnych czasów Krzemieńca, Jan Trentowski, nauczyciel muzyki przy tamecznej szkole, przed wielką nocą zakupił wszystkie jaja w mieście i w blizkiej okolicy, które w wielkim tygodniu myślał sprzedać za podwójną cenę, dla pieczywa bab, placzków i mazurków, na które ciasta przesadzały się, idąc o lepsze, gospodynie kilku możnych domów zamieszkałych w Krzemieńcu. W tym roku wiosna była chłodna, i Trentowski, z obawy aby mu nie pomarżyły skupione jaja, izby w których je trzymał kazał opalać, w skutek czego jaja się zepsowały. Ale niedość że stracił na towarze, nadto w wielu domach wymówiono mu lekcyę za niewczesnego figla który wyrządził, gdyż jaj się okazał wielki niedostatek i ciast prawie nie było. Biedny muzyk, zamiast zarobku, został bez chleba, a w dodatku poszedł w przysłówie, które długo powtarzano: *Zarobił jak Trentowski na jajach.*”

Nie chcemy, mnożąc przytoczenia, których jeszcze bardziej zajmujących wieleby się znalazło, czynić krzywdy autorowi, którego książka znajdzie się zapewne w wielu rękach. To pewna, że z pracy pana Darewskiego nietylko zabawa, ale i pożytek płynie; przy różnych bowiem cytacjach na jego powadze śmiało i bezpiecznie oprzeć się można.

Sztuka nasza poniosła stratę przez śmierć zasłużonego artysty, Ksawerego Kaniewskiego. Śp. Kaniewski, jako portrecista, wielce był ceniony, nietylko u nas, ale i zagranicą. Najwięcej jednak zasługi położył w zawodzie nauczycielskim, i była warszawska Szkoła sztuk pięknych pod jego kierunkiem wydała kilku artystów, stanowiących chlubę malarstwa polskiego.

W następnym numerze pisma naszego podamy wizerunek ś. p. Kaniewskiego, wraz z życiorysem.

## Przegląd polityki zagranicznej.

19 kwietnia.

Rząd francuzki oddał sprawę luksemburską w ręce dyplomacyi, t. j. mocarstw podpisanych na traktacie 1839 r. Mocarstwa naradzają się obecnie nad rozwiązaniem kwestyi nader trudnej i delikatnej, wypada bowiem wydać taki wyrok, któryby nie naruszył godności Francyi lub Prus, a jednakże oparty był na podstawie ścisłej sprawiedliwości. Dzienniki zagraniczne sądziły zrazu, że rezultatem narad będzie kongres europejski, dziś wszakże odstępują od tej myśli i przypuszczają że sprawa zakończy się sądem polubownym. Są to w ogólności przypuszczenia, oparte na plotkach politycznych, rzecz bowiem prosta że żaden z dzienników, prócz rządowych, które milczą dotąd, nie jest wtajemniczonym w przebieg układów gabinetowych. Z tém wszystkiém wyznać należy, iż obawa o wybuch wojny między Francją a Niemcami wzrasta. Przyczynia się do tego rozdrażniona postawa z tej i z tamtej strony Renu, oraz skwapliwie notowanie przez dzienniki uzbrojeń dokonywanych na olbrzymią skalę. Tak np. Avenir National donosi, że z Lyonu wyprawiają codziennie kule, działa i t. p. zapasy wojenne, tak że w przeciągu czterech dni wysłano do 200,000 pocisków, oraz znaczną liczbę dział obłężniczych. Ind. Belge. zapewnia, że zniesione w piechocie francuzkiej piąte i szóste kompanie przywrócone zostały w pułkach i że uruchomiono czwarte bataliony, tak że, według słów marszałka Nieła, Francya w każdej chwili może wystawić 600,000 żołnierza. Co się tyczy postawy mocarstw europejskich, to o ile dotąd wiedzieć można, ogólną ich zasadą będzie neutralność, nawet w razie wojny. Pogłoski o zamknięciu posiedzeń ciała prawodawczego francuzkiego i cofnięciu wszystkich projektowanych liberalnych ulepszeń, zaprzeczone zostały stanowczo. Powodzenie dotychczasowe wystawy powszechniej bardzo jest mierne. Cesarzewicz francuzki jeszcze chory.

Na posiedzeniu parlamentu włoskiego w d. 15 b. m. deputowany Ferraris zażądał objaśnień w przedmiocie obecnych kwestyj, tudzież przesilenia gabinetowego. Nowy prezes ministrów, p. Ratazzi, odmówił objaśnień, zapewnił wszakże iż nowy gabinet trzymać się będzie zasad bronionych przez większość zgromadzenia. Rząd przedstawi wkrótce projekta finansowe i propozycye dotyczące dóbr kościelnych, w przedmiocie zaś polityki zagranicznej szanować będzie ugodę wrześniową i nie zezwoli na to, aby przyszłość kwestyi rzymskiej teraz poruszona została. Odpowiedź ta nie zadowoliła ciekawości izby, a zwłaszcza tych którzy w upadku p. Ricasoli i powołaniu p. Ratazzi widzieli chęć koniecznego wpływu cesarza Napoleona. Garibaldi przybył do Florencyi.

Wybory do sejmu czeskiego, które, jak wiadomo, wypadły na korzyść stronnictwa niemiecko-centralistycznego, nie przyczyniły się do pomyślnego załatwienia istniejących nieporozumień, Czesi bowiem opuścili salę sejmową i oświadczyli że wcale nie wyślą delegatów do rady państwa. Niewiadomo także czy sejm kroacki przyjmie propozycye sejmu węgierskiego co do stosunku łączącego mającego Kroacją z Węgrami, kłopoty więc wewnętrzne rządu austriackiego nie zmniejszają się bynajmniej. Tymczasem burza nadchodzi z dwóch stron: — kwestye turecka i luksemburska pochłaniają uwagę gabinetu. Zdaje się że Austria zdecydowała się pozostać neutralną w razie wojny Prus z Francją, co, w obec ciężkiego położenia tego mocarstwa, nie-trudnym było do przewidzenia. Rada państwa zwołaną być ma na dzień 9 maja. Depesza z Berlina z dnia 15 b. m. donosi, że przy ostatecznym głosowaniu, projekt konstytucyi związkowej przyjętym został większością 230 głosów przeciw 53. Zamknięcie parlamentu nastąpić miało nazajutrz w białej sali zamku królewskiego. \*Sejm pruski zgromadzi się w dniu 29 kwietnia.

Ministerstwo Derby odniosło tryumf w parlamencie, który przyjął projekt do prawa o reformie i tym sposobem utrwalił byt obecnego gabinetu. Ze Wschodu donoszą, że Omer-basza otrzymał polecenie udania się na wyspę Kandya, celem przytłumienia powstania. Tenże sam generał, po dokonaniu swęj misyi (?), udać się ma na granicę Grecyi, t. j. do Tessalii i Albanii, kędy obejmie naczelną nad wojskiem tureckim dowództwo.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)



Panu R. J. w J. Więrsz p. t. „Książęce pachole“ drukowany nie będzie. Rozebrać go tu krytycznie nie możemy.

Panu M. w Warszawie. Obrazka p. n. „Suum cuique“ nie zamieścimy. Treść jego, jakkolwiek trzymana w granicach przyzwoitości, zanadto wkracza w sferę kroniki skandalicznej.

Panu N. N. w W. Drugą część korespondencyi pańskiej pominęliśmy, z powodów od nas niezależnych.

## HISTORIA RZYMSKA MOMMSENA.

Zeszyt 4y wyszedł w dniu dzisiejszym, zeszyt 5ty wyjdzie 10 maja r. b.

Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów, czyli zeszytów 36. — Cena rsr. 8. — Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.

Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przylać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.

## Najnowsze odkrycia,

wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Znaczenie owadów i innych zwierząt w naturze. — Nowe systemy wentylacyjne. — Regulator gazu Garniera. — Przyrządy do oddychania w każdej atmosferze Galiberta. — Studya nad winem Pasteura. — Tkaniny z chmielu. — Bronz aluminiowy. — Doświadczenia Gerneza. — Fosfor metaliczny. — Wpływ promieni słonecznych na księżyc. — Nowe spostrzeżenia ozonometryczne p. Houzeau. — Machina magneto-elektryczna pomysłu p. Wilde. — Głazy sztuczne Ransome'a. — Ryby śpiewające. — Leming norwęski.

Przed kilkoma laty rolnictwo za granicą wypowiedziało wojnę wytępienia wielu owadom, zaliczanym do kategorii niszczycieli królestwa roślinnego. Okazy ofiar przesłano na wystawy paryżką i londyńską, dla obeznania z niemi publiczności. Najszkodliwszą jednakże była tu niewiadomość; nowsze bowiem spostrzeżenia dowiodły, że niezawsze i niewszystkie te twory są szkodliwemi, że przeciwnie w pewnych warunkach nieoszacowane przynoszą usługi. Natura nie nie tworzy napróżno, wszystko ma cel i łączność, składając się na owę precydującą harmonię, którą człowiek w całym wszechświecie podziwia. Korzystamy z naukowych studyów w tej sferze p. p. Tausenela, Prevosta i Koltza, aby wykazać jak ważny wpływ wywierają owady na powietrze, wody i rośliny, spodziewając się że przedmiot ten nie będzie obojętnym dla czytelnika.

Pierwszą podstawą zdrowia publicznego jest powietrze, którego czystość utrzymują owady. Niewszędzie istnieje porządek grzebania zwłok zwierzęcych; dziś jeszcze w wielu miejscowościach, zwłaszcza u nas, zostawiają je na polach, na tak zwanych *mogilkach*, gdzie stają się najpierw pastwą wilków, sępów i kruków, dopóki nie objawi się rozkład zgnię, kończący biesiadę. Następuje wtedy nowa faza, nowy bankiet: miliony żuków, omarlic, grobarzy, skórników i kłusawców, zgnętych obrzydłą wonią, rzuca się łakomie na te szczątki i prowadzi dalej dzieło zniszczenia, zostawiając w końcu cuchnące resztki ścierwicom, składającym tam po uczcie niezliczone jajka; z tych wreszcie wyradza się niezmierną moc robactwa toczącego ostatek zjadł przez całe dnie i noce, jak gdyby przeznaczone było do oczyszczenia skieletu z najdrobniejszej cząstki ciała rozkładowi uległego. Obliczono, że jedna ścierwnica, czyli tak zwana mucha niebieska, składa w czasie lata do 7,000 jaj w padlinie końskiej, z których w kilku godzinach wykluwa się robactwo, zmieniające się szybko w muchy i składające z kolei miliardy jajek. Tym sposobem cała ta nieobliczona i chciwa żeru armia niszczy nadzwyczaj szybko padlinę. Lecz niedość na tém: grobarze i inne żuki posiadają szczególną sztukę kopania grobów i zagrzebywania w nich skieleto. Wprawni ci grabarze oddają ostatnią smutną posługę zwierzętom, kryjąc w łono ziemi śmiertelne ich szczątki. Obok tego masy żuków, krówek, gomolatek rzucają się na nieczyste pozostałości i wypróżniają zwierzęce, a pożerając je, zapobiegają wywiązywaniu się zabójczych gazów, mogących zepsuć powietrze, a tém samem rozszerzyć śmierć i zniszczenie.

Larwy komarów i innych owadów oczyszczają również ścieki nieczyste, kałuże, wody stojące z trujących wylęgów, wpływ ich jednakże na rośliny jest najdzielniejszy. Zdaje się tu zachodzić bardzo ścisły stosunek między temi dwoma działami organicznymi: ze wzrostem bujnej roślinności powiększa się zawsze ilość owadów, z pomniejszeniem jej zaś znikają w odpowiednim stopniu owe skrzydlate istoty. Z wiosną wschodzą one i rozwijają się razem, z jesienią wspólnie giną: co więcej, owady zajmują się pilnie rozplenianiem roślin służących im za pożywienie. Niektóre rośliny, powiada Darwin, wydzielają płyn słodkawy, prawdopodobnie dlatego, aby soki swe oczyścić z materij szkodliwych. Wydzielanie odbywa się za pośrednictwem gruczołów umieszczonych przy podstawie przysadek liściowych u kilku groszkowatych, i na odwrotnej stronie liści wawrzynu. Materye te, jakkolwiek znajdują się w bardzo małej ilości, chciwie są poszukiwane przez owady. Jeżeli teraz przypuścimy, że nieco tego płynu wydzielać się będzie u podstawy płatków korony, widoczna, że owady słodczy tropiace obrzucone zostaną pyłkiem kwiatowym, który przeniosą na bliźnię drugiego kwiatu. W ten sposób opylenie do-



konanem zostanie i rozwiną się młode roślinki, mogące z kolei kwitnąć i rozmnażać się; im zaś będą mogły więcej wydzielać soku słodkawego, tém częściej nawiedzać je będą owady i pyłek przenoszony tém dzielniej nowe rośliny rozpleni. Owady tropiące w miejsce słodczy sam pyłek kwiatowy, jeszcze ważniejszą w opylaniu odgrywają rolę. Wiadomo że urodzajność koniczyny zależy wiele od pszczoł wstrząsających płatki korony i skutkiem tego sprawiających opadanie pyłku na powierzchnię blizny. Natura powierzyła owadom misyą dokonywania opylania niektórych roślin, opatrzyszy ich ciałem w rozmaite odpowiednie temu włoskowate przyrządy.

W obec tych cudownych praw niszczenia i odradzania dokonywanego przez owady w przyrodzie, następuje pytanie, pod wpływem jakich warunków nastąpić może złamanie równowagi? dlaczego

one posuwać zaczynają zadaleko dzieło spustoszenia, natychmiast zlatują się całe legie pasożytów gąsieniczników, wydając napastnikom śmiertelną walkę i prześladowając nawet ich potomstwo; na poczwarkach bowiem owadów mściciele ci składają jajka, z których następnie powstałe robactwo pożera młode pokolenie. Owady powstrzymują wtedy dalsze napaści, ustępując przewadze nieprzyjaciół licznych i rozmaitych.

Każdy owad ma swego nieubłaganego wroga. Na wołkę koniczyny napada *Colyptus macrocephalus* i *pteromalus*; wołka rzepakowego ściga *sigalphus* i *taphoeus*; z ziarnowcem walczy *pteromalus* zmienne; z poczwarką chrabaszczą dratewnica; z mszycami ily i biedronki; z gąsienicą guzowca komary czarne; z osą zbożową *pachymerus* i t. p., — a chociaż każdy owad rozmnaża się odpowiednio do obfitości swego pożywienia, każdy pasożyt rozradza się w tym-

Jakiż interes, pomimo trudów i niebezpieczeństw podróży, przyciąga w nasze okolice te skrzydlate istoty? Oto natura przysposabia tu na ich obrzęd weselny przepyszne wety, składające się nietylko z wyboru owoców i smacznego ziarna, ale z jeszcze wykwintniejszej potrawy, jaką ptastwo w tysiącnych gatunkach owadów znajduje. Dlatego to wszystkie te ptaki wydają zaciętą wojnę łupieżnym owadom; bystre ich oko dostrzega zdala najdrobniejszego nieprzyjaciela, a lot szybki pozwala go doścignąć. Gdyby nie to, napastniki mnożyłyby się w przerażającej obfitości i jak szarańcza egipska spustoszyłyby wszystko do szczętu.

Myszolów, pszczołojad i familia sów żywią się tworami gryzaczami. Sowa poluje na szczury, myszy polne i leśne, koszatki; pszczołojad karmi się gąsienicami, osami i poczwarkami tegopokrywych szkodliwych; kozodój, jerzyk, jaskółka i muchołów-



DWIE MATKI. (Rysował Tegazzo, podług obrazu olejnego Grotgera). Obraz ten, zakupiony przez warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych do rozlosowania w końcu roku 1866, wygrał Dr. Śmiechowski w Warszawie.

w pewnych epokach dostrzegamy nietylko targanie się królestwa zwierzęcego na roślinne, lecz nadto samych zwierząt na siebie, równie jak samychże roślin? Pomnażanie się owadów opartem jest bezwzględnie na odpowiednim rozwoju roślin w naturze sobie samej zostawionem; owady jednak mogą stać się niebezpiecznymi i wieloszkodzicami, jeżeli człowiek, działając we własnym interesie, rozradza do zbytku pewne rośliny, w celu zaspokojenia swych potrzeb; wtedy bowiem stara się zepsuć harmonię natury, która w obronie praw swych z nim walcząc, powiększa w tymże samym stosunku liczbę owadów przeznaczonych do przywrócenia naruszonej równowagi.

Wtedy to na zboża, winnice, rośliny olejne lub w cukier obfitujące, na drzewa i łąki rzuca się niezliczona masa małych skrzydlatych potworów, zmniejszających lub niszczących zbiory; gdy jednak

że samym stotunku i równowaga jest utrzymana. We wszystkich krajach znajdujemy gąsieniczniki tępiące owe niezliczone masy gąsienic, napastujących straszliwie roślinność. Gąsieniczniki zaopatrzone są w tym celu w przedziwne narzędzia; natura prócz tego obdarzyła te istoty instynktem składania jajek na poczwarkach gąsienic, na błonkoskrzydłych, muchowatych i t. p., a tém samem zapewnienia bytu swemu pokoleniu kosztem tych owadów. Pasożyty przychodzą przeto w pomoc rolnictwu równie skutecznie jak ptastwo, co z każdą wiosną od południa napływa, przebywając morza i góry. Wita ono ziemię radośnie, jaskółka szuka swego okienka, dzięcioł i wilga swych drzew, ulubionych, słowik i piegża swych gajów, a każde z nich obejmuje w posiadłość pola i krzaki, zwołując się śpiewem miłym.

ka żyją prawie wyłącznie owadami; kozodoje nocą chwytają wiele tegopokrywych i zmierzchnic, sławnych niszcycieli roślin; sroki szukają gąsienic; cienkodziobe, jakoto: pliszki, pokląskwy, kopciszki, słowiki, płochacze, pokrzewki, strzyżyki i króliki pożerają ogromną ilość owadów. Strzyżyk, królik, raszka, płochacz, pomimo ostrości zimy, pozostają u nas, żywiąc się jajkami owadów składanymi na roślinach, równie jak pełzaczki i sikory.

Strzyżyki i króliki, według zapewnienia p. Tschudi, znoszą swym piskletom w przecięciu na godzinę 36 razy pożywienie złożone z jajek poczwarek i owadów. Obliczenia p. Toussenel'a wykazały, że para strzyżyków znosi swęj rodzinie na dobę 156,000 jajek. Krzak różany, obsiadły przeszło dwoma tysiącami mszyc, jedna sikora, jak utrzymuje p. Koltz, w bardzo krótkim czasie oczyścić potrafi. Skowron-



ki, jakkolwiek żywiące się w części ziarnem, niszczą jednakże znaczne ilości gąsienic guzowca i poczwerek sprężyka, polując przytęm na robaczki, świerszcze, szarańczę i jajka mrówek.

Do ptaków wytopiających owady szkodliwe zaliczamy jeszcze dudka i kukułkę, żywiącą się wielkimi gąsienicami, jesionkami zwanymi, które nie są łatwe do strawienia; ptak ten jednakże przynajmniej

Do tworów owadożernych należą także niektóre zwierzątka niesłusznie pogardzane, a nawet prześladowane przez człowieka. I tak: nietoperze, szpełne istoty z ostremi zębami, o bystrzej żrenicy, w skórnym swym locie chwytają ćmy nocne, chrabąszcze, komary i mustyki. Naturalista Kuhl przytacza, że widział małego nietoperza pożerającego 13 chrabąszczy jednego po drugim, większy zaś zjadał 70

dziesięciu lamy w niektórych okolicach Niemiec w każdej gminie znajdował się człowiek zajmujący się łowieniem kretów. Następnym tego urządzenia było zjawienie się miliardów robactwa, czyniącego ogromne spustoszenia w łąkach. Dziś w okolicach tych zostawiają w spokoju kretowiska.

Do środków wytopiających zarodki owadów, obok głębokiej orki, wypalania łąk i nawodniania zboża



ZABYTKI ARCHEOLOGICZNE W SKARBUCU KRAKOWSKIM. (Układ i rysunek Ludwika Lępkowskiego).

co 5 minut niszczy taką gąsienicę, co w ciągu 14stu godzin dnia letniego wyniesie 168 sztuk. Szpak i wilga szukają chciwie gąsienic, robaków i ślimaków; gawrony tępią wszystkie złośliwe larwy; wrony kroczą za śladem pług, zbierając chrząszcze i białe robaki. Gdyby nie to ptastwo, przychodzące w pomoc rolnictwu, pola byłyby spustoszone i smutne.

much, inny 12 wielkich motyli. Według zapewnień tegoż pilchy nietylko nie żywią się ziarnem i owocami, lecz bronią takowe od napaści stonogów i skórków. Krety, uważane dotąd za plagę, oddają przecież gospodarstwu rolnemu niemałe usługi; nie żywią się one wcale materiami roślinnymi, lecz robakami białymi i poczwarkami chrabąszczy. Przed

wodą wapienną, zaliczamy także preparat za granicą używany i bardzo skuteczny. Preparatem tym jest siarczyk węgla, wzięty w stosunku 5 gramów na hektolitr pszenicy lub innego zboża (0,3945 łuta na 25 garncy). Zniszczenie jajek larw następuje w kilku godzinach, a zapach siarki ginie po wystawieniu ziarna na otwarte powietrze.



Sposobów zabezpieczenia roślin od szkodliwych owadów naucza sama natura; dlaczegóż więc człowiek nie ma przykładać się do rozradzania piaskówek, pływaków i t. p. nieprzyjaciół robaków, gąsienic i mszyc, jeżeli one nie przynoszą najmniejszego uszczerbku plonom, dlaczego nie ma wspierać rozwijania się pasożytów, jak naprzykład jeża owadożernego, a nawet w pewnych warunkach tchórza, tępiciela myszy leśnej i polnika? Oszczędzanie ptastwa żyjącego owadami jest koniecznością. Obliczono że para wróbla znosi tygodniowo do gniazodka na pokarm małych około 3000 owadów, larw, szarańczy, gąsienic, mrówek i robaków, a p. Prevost przytacza, że w jednym gnieździe wróbla znaleziono szczątki 700 chrabaszczy. Nie ulega wreszcie żadnej wątpliwości, że z pomniejszeniem się ilości wróbla, liczba gąsienic się powiększa. Doświadczyły tego Prusy. Istniało tam dawniej prawo pozwalające płacenia podatku skarbowego oznaczoną ilością główek wróblów; lecz w miejsce wytraconego ptastwa, zjawily się w niezmiernym mnóstwie gąsienice i administracja zmuszona była sprowadzać wróble z zagranicy. Takie same fakta powtórzyły się w niektórych miejscowościach Anglii. Pewien naturalista podaje przybliżoną liczbę 80,000,000 jaj ptasich corocznie niszczonech we Francji. Kardynał Donnet, wspominając o tém, powiada, że na miliardy trzebaby obliczać owady których wytepić nie pozwoliła swawola.

Rozgrzewanie się dachów, zwłaszcza metalu krytych, przez promienie słoneczne w czasie lata, sprawia na wyższych piętrach domów nieznośne gorąco, utrzymujące się długo, nawet po zachodzie słońca; lufciki, przepuszczając zaledwie słaby prąd powietrza, nie mogą skutecznie wpływać na obniżenie temperatury w lokalach, a brak odpowiednich środków wentylacyjnych zamienia w czasie lata dworce kolei żelaznych, teatru, miejsca zgromadzeń publicznych, w prawdziwe łaźnie.

Zarządzenie tej niedogodności zdaje się zasadać bądź na wprowadzeniu wewnątrz mieszkań zimnego powietrza, bądź na przeszkodzeniu rozgrzewaniu się powietrza w nich zawartego, bądź wreszcie na zastosowaniu obu tych środków w sposób praktyczny i tani. Na powyższej zasadzie generał Morin, znany z licznych prac w tym przedmiocie, projektuje przewietrzanie ciągłe i polwanie dachów wodą. W pierwszym razie wypadałoby, według jego opinii, nadać takie wymiary otworom wentylacyjnym, aby powietrze mogło być odnawiane przynajmniej dwa razy na godzinę, a szybkość odpływającego powietrza nie przechodziła 50 centymetrów na sekundę; kominki ciągowe powinny być w części zewnętrznej z blachy żelaznej, aby rozgrzewając się od słońca, przyspieszały wpływ powietrza miejscowego; wysokość ich ponad dach 3 metry wynosić może. Otworów przepuszczających świeże powietrze, potrzeba dawać jaknajwięcej, i to od strony wolnej od wpływu promieni słonecznych; wymiary ich winny być takie, aby powietrze przez nie napływało z szybkością najwyższą 40 centymetrów na sekundę, czyli wolniej od powietrza odpływającego. Dla wszystkich lokalów oświetlonych gazem należałoby zapewnić, obok tego, odpływ produktów z palenia się pochodzących, a to za pomocą kominków wentylacyjnych. W drugim razie polwanie dachów wodą, gdzie tylko jej obfitość na to pozwala, naśladuje skutek naturalny deszczu; metr sześcienny wody na godzinę, wystarczy do oblania stu metrów kwadratowych dachu i zabezpieczy go od rozgrzewania się od słońca, a powtarzanie tej manipulacji obniży temperaturę napływającego do mieszkania powietrza. Koszta bardzo są małe, obliczono bowiem że dla dworca kolei żelaznej orleańskiej mającego na 138 metrów długości 28 metrów szerokości, wydatek roczny polwania nie przejdzie tysiąca franków. Projekta p. Morin'a, jak widzimy, zalecają się nie tylko tanią, ale nadto z łatwością zastosować się dają.

Godnym jest także uwagi projekt wentylacji, podany przez p. Regnault'a. Zamiast zwykłych mechanizmów, czerpie on siłę potrzebną do przewietrzania z samego słońca; w tym celu daje podwójne pokrycia dachowe z cynku, z odstępem między niemi 20 centymetrowym (przeszło 8 cali pols.), opatrzone stosowną liczbą kominków z blachy żelaznej, prostokątnych, aby wystawić na działanie promieni sło-

necznych jaknajwiększą powierzchnię. Przestrzeń przeto zawarta między pokryciami dachowemi tworzy szeroki komin, ogrzewany przez słońce i wciągający tém samém powietrze miejscowe; za pomocą zaś kanałów podziemnych, z otworami wychodzącymi na salę, przeprowadza on powietrze świeże z zewnątrz. Urządzenie to daje doskonałą wentylację, ale wymaga wielkiego nakładu. Pod tym względem sposób przewietrzania proponowany przez p. Pradez z Genewy jest wygodniejszym.

Zasada przez niego przyjęta opiera się na prostym naśladowaniu natury. Włos kędzierzawy Murzyna nie pozwala słońcu operować na jego czaszkę; jeżeli powietrze w tych włosach uwiecznione ogrzewa się silniej od otaczającej atmosfery, następuje wentylacja i Murzyn z odkrytą głową lepiej jest zabezpieczony od upału, niż Europejczyk w kapeluszu. W zastosowaniu tego do ochrony budowli od promieniowania słońca, p. Pradez radzi osłaniać dachy pokryte cynkiem lub miedzią pęczkami słomy odpowiedniej grubości, i na poparcie przytacza Brazylię, gdzie dachy słomiane dają chłód najprzyjemniejszy. W samej rzeczy, gdy tylko rozgrzeje się od słońca zewnętrzna warstwa słomy silniej od otaczającego powietrza, między warstwami zimniejszego powietrza, uwiecznionego w słomie, następują wymiany, zaczyna się przewietrzanie ciągłe, regularne, i dach nigdy zbyttemu rozpaleniu nie ulega. Nizka cena słomy przemawia na korzyść tego sposobu; pytanie jednak zachodzi, czy zapewni on bezpieczeństwo od pożaru. P. Pradez, przewidując tę kwestyę, spodziewa się że przy obecnym postępie chemii łatwo jej będzie podać środki zrobienia niezapalnego drzewa, nadmieniając przytém, że pokrycia słomiane są potrzebne tylko w ciągu kilku miesięcy letnich. O użyteczności powyższego projektu można będzie sądzić dopiero po zastosowaniu go w praktyce.

Obok tych metod wspomnieć winniśmy o tak zwaną *wentylację odurotną*, zastosowaną przez inżyniera cywilnego w Terrasse, p. Aribert'a, do przewietrzania szpitali, których plagą jest brak ruchu powietrza. Dla objaśnienia weźmy szklaną napełnioną wodą i wlejmy do niej jakikolwiek syrop, np. gumowy, zafarbowany karminem; syrop ten, jako gęstszy od wody, spłynie, nie mieszając się z nią, na spód szklanki i tam ułoży się w nieruchomą warstwę. Powtórzmy teraz toż doświadczenie z dwoma gazami różnej ciężkości gatunkowej. W naczynie zamknięte z powietrzem, wpuśćmy do spodu strumień wodoru; wzniesie się on w kolumnach, nie mieszając z niem i pozostawi pomiędzy wznoszącymi się kolumnami miejsca zajęte nieruchomym powietrzem. Taki to właśnie stan utrzymuje się w szpitalach w szczególności, a w ogóle we wszystkich salach publicznych, ogrzewanych od spodu kaloryferami lub piecami rozmaitej budowy; powietrze ciepłe wznosi się tam w kolumnach odosobnionych, nie mieszając się zupełnie z miejscowem, i zatrzymuje u sufitu naksztalt regularnej płachty, uchodząc otworami przewiewnymi za ich utworzeniem; miejscowe zaś, zimniejsze, pozostaje nieruchome w niższych warstwach i nasycy się miazmatami.

Okazaliśmy wyżej, dlaczego i w jaki sposób powietrze szpitalne jest nieruchomem; wyjaśnimy teraz na przykładzie jak można je odnowić. W naczynie napełnione wodą, wlejmy lżejszą od niej oliwę, która ułoży się naturalnie na powierzchni; otworzymy kruczek u spodu naczynia umieszczony, a oliwa, z szybkością odpowiednią ustępującą wodzie, spłynie i naczynie wypróżnione zostanie. Otóż według p. Ariberta podobnie należy postąpić z wentylacją szpitali. Przepuszcza on z góry prąd ciągły powietrza ogrzanego, o kilka stopni cieplejszy od znajdującego się w sali. Powietrze to, jako lżejsze, układa się tam w warstwach wyższych, jak w naczyniu oliwa, w najniższej zaś części sali urządzonej kominiek ciągowy, mający toż samo przeznaczenie co kruczek u wyżej wspomnianego naczynia, wciągnie najpierw powietrze zimne, najbliższe, dół sali zajmujące, potem warstwy jego środkowe, nakoniec warstwy cieplejsze, znajdujące się najwyżej. Widocznem jest że wtedy utworzy się prąd stały, strumień bowiem powietrza ciepłego, wydane go przez przyrząd ogrzewawczy u góry, ustępować będzie coraz niżej na dół, gdzie wciągnięty zostanie przez kominiek ciągowy i spalonym. Tym sposobem z zaraźliwych miazmatów powietrze miejscowe zupełnie się oczysz-

cza. Wynalazca system swój nazwał wentylacją odwrotną dlatego, że powietrze przelęwa się tu wprost przeciwnie naturalnemu swemu ruchowi, jak to widziliśmy wyżej. Zresztą w metodzie tej powietrze świeże napływa dopiero po ustąpieniu miejscowego odpowiednio urządzonego kanałem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

#### Zabytki archeologiczne w skarbcu krakowskim.

Do północnej ściany katedry przymurował w końcu XV wieku Jan Rzeszowski biskup krakowski gmach z ciosowego kamienia, przeznaczony na zachowanie kosztowności wszelkiego rodzaju, rzadkich dzieł i rękopisów, oraz wszelkich zabytków archeologicznych, własnością katedry będących.

Staraniem i hojnością ludzi, z wpływem kilku wieków, skarbiec katedralny urósł w zamożność. Jak bogactwa były w nim wielkie, dość powiedzieć, że Jan Kaźmirz, przyciśnięty potrzebą, zabrał złąd srebra 1500 grzywien; w późniejszych czasach wzięto 1900 grzywien srebra, a 320 złota. Oprócz tych dobrowolnych ofiar, Wirtz generał szwedzki zabrał ze skarbcia mnóstwo drogich kamieni i wyrobów złotych, oraz 1650 grzywien srebra. Z pozostałych, lubo niedokładnych inwentarzy, pokazuje się że w skarbcu katedralnym, prócz wielu drobniejszych kosztowności, znajdowało się trzynaście posągów złotych i dwadzieścia srebrnych, wyobrażających rozmaitych świętych; posąg szczérozłoty świętego Stanisława; siedemnaście srebrnych opraw mieszających głowy świętych; krzyż wielki złoty, wysadzany dyamentami i klejnotami; pięć innych krzyżów złotych i szesnaście srebrnych; jedenaście kielichów złotych; trzydzieści cztery lichtarze srebrne różnej wielkości i t. d. Najkosztowniejszym zabytkiem jest ornat, ręką Jadwigi niezmiernym mnóstwem drogich kamieni i pereł wyszyty.

Dziś z tego wszystkiego szczątki ledwie zostały, a jednak widać w nich ślady dawniej zamożności skarbcia. Pomiędzy innymi zasługują na wymienienie:

Relikwiarz szczérozłoty, zamykający w sobie głowę biskupa Stanisława Szczepanowskiego, wysadzany 60 drogiemi kamieniami i przeszło 100 perłami, z dużym dyamentem; wieko wsparte na czterech aniołach, trzymających tarcze z herbami. W arkadach gotyckich pomiędzy aniołami znajduje się osiem wypadków z życia świętego, w płaskorzeźbie wykutych. Pochodzi z pierwszych lat XVI wieku.

Relikwiarz w kształcie monstrancyi, zawierający kości św. Zygmunta, rzeźbami i emalią zdobny, przeszlicznej roboty, z figurami i herbami, z r. 1516.

Relikwiarz srebrny, na trzy stopy wysoki, z częścią gwoździa, którym Zbawiciel był przybity, dar Grochowskiego arcybiskupa.

Relikwiarz z głową św. Floryana, w stylu starogreckim, otoczony 12 świętami.

Relikwiarz św. Wacława w kształcie monstrancyi, srebrny, lany, z Opatrznością w środku, ozdobiona 40 dyamentami, z r. 1747.

Infuła po św. Stanisławie, perłami i kamieniami wyszyta.

Ręka tegoż świętego srebrna, mająca na palcach, osiem pierścieni kosztownych, z których jednego miał używać ów biskup.

Krzyż złoty na łokieć wysoki, cały pokryty siatką z kwiatów, ptaszków i figur, z niezmierną pracowitością wyrobionych; zdobi go smaragdów, rubinów i szafirów 60, oraz sto pereł. Pochodzi z pierwszej połowy wieku czternastego, a wtedy ceniono go na 10,000 złotych ówczesnych.

Bukiet szczérozłoty, złożony z 13 róż, oprócz gałęzi i liści; podstawa pod nim złota i herb Klemensa XII.

Monstrancya Gembickiego, z r. 1650, kunsztownie wyrobiona, zdobna figurami trzech aniołów, trzymających godła męki Chrystusowej; dwóch innych dźwiga promieniste słońce. Znajduje się przy niej Melchizedech złoty, z 15 dykształtami, dodany przez Michała Wodnickiego, dziekana katedralnego.

Monstrancya Mikołaja Oborskiego archidyakona krakowskiego, z XVII wieku, srebrna, złożona, z krzyżem złotym na wierzchu, 22 dyamentami ozdobionym.

Monstrancya Stefana Dąbskiego, srebrna, poczana, z końca XVII wieku.



Infuła Andrzeja Lipskiego, biskupa krakowskiego, z r. 1631. Całe tło wyszyte perłami, pasy na niem z drogiej kamieni w liczbie 384. Nad czołem imię Marya, 76 klejnotami wyszyte, trzymane przez dwóch aniołów emaliowanych na złocie, ozdobionych 40 kamieniami. Na szczycie w obłoku z 10 opalów jest anioł, mający skrzydła 30 rubinami wysadzone. Na odwrotnej stronie także tło z pereł i 310 kamieni. Imię Jezus w wieńcu wysadzone z 35 dyk-sztajnow i 38 rubinów. Pierś herbu stanowi wielki szmaragd podłużny, wypukły, a skrzydła i ogon 47 dyk-sztajnow. Dwóch aniołów trzyma wieńiec z 44 kamieniami, a brzegi infuły otoczone 50 perłami i 18 rubinami. Cała więc infuła zawiera, oprócz mnóstwa pereł, 1032 kamieni drogiej, a między niemi wiele pięknych i kosztownych. Ceniono ją na 50,000 złotych ówczesnych.

Infuła Tomasza Strzemińskiego biskupa krakowskiego, z połowy wieku XV, pięknie haftowana perłami, z 66 kamieniami drogiemi.

Infuła Jana Lipskiego kardynała, biskupa krakowskiego, z lamy złotój, z 69 klejnotami.

Ornat Stefana na lamie złotój, z wypukłemi amarantowemi kwiatami i herbami Wilcze zęby.

Ornat Piotra Kmity z XV wieku, z lamy złotój, z haftowanemi obrazami z życia św. Stanisława, bardzo wypukłej, starożytniej roboty.

Osiem innych ornatów, prześlicznej roboty, dary różnych osób znakomitych, których dla szczupłości miejsca nie wymieniamy.

Kilkanaście kielichów, bądź kosztownych, bądź wyrobem cennyj; między temi najdawniejszy z pierwszjej połowy XIII wieku, przez św. Jadwigę ofiarowany, szklany, na podstawie srebrnej, jeden z najpiękniejszych archeologicznych zabytków.

Włócznia św. Maurycego, dar, jak twierdzą, Ottona III cesarza. Dwunastu apostołów z kości słoniowej, ofiarowanych przez Przyrębskiego kanonika katedralnego w miejsce złotych, zabranych w końcu zeszłego wieku.

Oto są cenniejsze zabytki tamtejszego skarba, których część, w artystycznym ugrupowaniu, drzeworyt nasz przedstawia.

## Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Od niemieckich znakomitości łatwe przejście do uniwersalnego alfabetu dr. Antoniego Schmidta z Moguncyi. Przyznajemy się żeśmy nie posadzali praktycznych Niemców, aby ich ta choroba uniwersalnych panaceów dotykać mogła. Dr. Schmidt opiera swój system na fenicko-egipskiem piśmie obrazowem. Na co się to przyda, trudno zgadnąć, chyba aby wszystkich języków właściwości i piękności pozacięrać. Przyjaciele autora utrzymują, że alfabet ten posłuży misjonarzom do obdarzenia pismem narodów, których języki jeszcze na papier nie przeszły.

Jednym z języków, co chociaż oddawna jest pisanym, lecz dotąd w Europie nawet z rysunku głosek mało znanym, a drukowanym nie był nigdy, prócz w Kazaniu i Petersburgu — jest mongolski. Otóż właśnie parę tygodni temu wyszła pierwsza książeczka mongolska, wydana przez B. Jügl'a w In-spruku. Historia tej powiastki, należącej do zbioru podań wschodnich, jest zaprawdę ciekawa.

Niemiecki uczonej, przerzucając zbiór powieści mongolskich *Ardschi Bordschi*, znalazł w nim kropka w kropkę podanie niemieckie, historiją Tristana i Izoldy, tak jak ona stoi u Gotfryda ze Strasburga.

Podobieństwo obu powieści jest tak uderzające, że się rozciąga nawet do znaczenia imion osób i najdrobniejszych szczegółów. Jakim sposobem ta prastara, wschodniem pochodzeniem nacechowana bajka, znalazła się razem na dwóch tak odległych świata krańcach, rzecz dotąd niewytłumaczona... Przypuszczenia są najrozmaitsze, lecz zagadka pozostaje zagadką. Tożsamość obu powieści nadto jest wielką i zupełną, aby traf przypuścić można. Dla dotykającego dowiedzenia tego osobliwszego zbiegu, p. Jügl postanowił wydać oryginał powieści po mongolsku. Miał on przed sobą trzy jej odpisy: tekst rękopisu muzeum azjatyckiego w Petersburgu,

(z tłumaczeniem Gombojew'a), rękopis dziedziów A. Castren'a i kopią (najczystsza a najlepsza) przysłaną przez p. Kowalewskiego z Warszawy. Według tej ostatniej druk zarządzony został, chociaż do niego całkiem nowe czcionki odlewać musiano. Łożył na to naczelnik uniwersyteckiej drukarni w In-spruku, p. Schumacher, któremu dziełko to jest przypisanem.

Nie mogliśmy się powstrzymać od wspomnienia o tej osobliwości, zwłaszcza że ją dla nas pełne wdzięczności wspomnienie o zasłużonym uczonym naszym Kowalewskim. bardziej jeszcze zajmującą czyni.

Badania naukowe nad podaniami ludów węgęjby podobnych zdumięwających zbliżeń dostarczyły. Odkryto niedawno ułamki pierwotnego tekstu Nibelungów na wyspie Feroe. Mniej to zadziwia niż Trystan i Izolda na mongolskich stepach, lecz ileż to anegdot i powieści obiegiło świat z wędrownkami narodów! ile prastarych legend dziś jeszcze powtarzają u nas u komina, prawie tak jak je za Herodotowych czasów opowiadano!

Człowiek w ogóle mało tworzy samoistnie; przetrawia i przerabia, nadaje formę, wlewa nowe życie, często wyjaśnia myśl lub odmienia ją, a materia najczęścięj bierze (sam o tem nie wiedząc) z ogólnej skarby...

Do tej wzmianki o orientalnem pochodzeniu powiastce, łatwo nam przywiązać wiadomość o zgonie słynnego orientalisty Salomona Munk w Paryżu. Był on już oddawna w skutek pracy ociemniałym. Munk urodził się na Szlązku w Głogowie w r. 1807; pochodził z rodziny izraelskiej. Uczył się języków wschodnich w Berlinie i w Bonn, potem był uczniem Sylwestra de Sacy. Pierwsze jego prace ukazały się w *Journal asiatique*, w Frank'a Dykcyonarzu filozoficznym i w Didot'a *Univers pittoresque*, do którego napisał Palestynę. Jest to jedno z najlepszych dzieł w tym przedmiocie. W r. 1842 mianowany był Munk kustoszem przy królewskiej bibliotece w Paryżu, ale w dziesięć lat później, cierpiąc na oczy, zajęcia tego rzec się musiał. Dalsze jednak swe studia, z pomocą przyjaciół i ziomeków swych, ciągnął dalej, pracując nad wyczytywaniem napisów fenicyjskich; tłumaczył także Majmonides'a (Przewodnik zbłąkanych) i kilka razy za swe rozprawy filologiczne i gramatyczne otrzymywał wielkie premia akademii paryzkiej.

Oprócz Munka, w ostatnich miesiącach zmarli w Niemczech J. K. Beeg, jeden z dyrektorów Muzeum starożytności norymberskiego, który wydawał dziennik rękodzielom poświęcony; dr. A. Legis-Gluckselig, który pracował nad historiją Słowian (w Pradze) i F. C. Weidmann, syn artysty teatru wiedeńskiego, później pożyteczny pisarz, którego przewodniki po Alpach styryjskich i tyrolskich służyły innym za materiał do opisów.

Ze świata artystycznego, którego celniejsze płody przewiozły już koleje żelazne ku brzegom Sekwany, mało mamy nowości, wszakże dowodów niezmiordowanej działalności artystów niemieckich nie braknie.

Któż nie zna, choćby za pośrednictwem Wagner'a, upopularyzowanych legend o starym zamku na Wartburgu? Był ten gród założonym przez Ludwika (der Springer) w r. 1070; książę wejmarski zabiera się więc w r. 1870 obchodzić 800 letnią rocznicę zakładzin.

Będzie to niechybnie powodem do wielu utworów artystycznych, do których jakby przemową i wstępem jest akwarella bardzo kunsztownie wykonana przez profesora Micheli's'a, w tych dniach wystawiona w sali szkoły sztuk pięknych w Wejmarze. Przedstawia ona w środkowym dziale widok dzisiejszego Wartburga i piękną otaczającą go okolicę turyngską, a po bokach, na sposób starych rękopisów wykonane, obejmują go wyjątki z Waltera von Vogelwiede, z herbami, ozdobami i średnio-wieczną wspaniałą kaligraficzną ornamentacją.

Przybywa współzawodniczka, która o lepszą z Wenerą Medyceuszów i Milo ma walczyć... na nieszczęście wróciła po parze tysięcy lat pobytu pod ziemią, bez głowy. Piękny ten, jako arcydzieło powitany posąg marmurowy, wykopany został niedawno Akwilei. Poszukiwania trwają, dla wynalezienia niedostającej a tak wielkiej wagi części tego dzieła. Wiadomo że często zmieniano na nieszczęście głowy posągów, których rysom nadawano u-

bóstwianych pań podobieństwa, a robiono to i z innymi dziełami sztuki. Prócz tego w czasach gdy pomniki bałwochwalstwa niszczone, barbarzyńsko obchodzono się z niemi. Dlatego mało dzieł sztuki doszło nas w całości, a najslawniejsze nawet są restaurowane i niezawsze bardzo szczęśliwie. Wenus medycejska we Florencyi cała jest posztukowana, jeśli się nie mylimy, przez Bernini'ego, a manierowane rąk paluszki dobitnie o tem świadczą. Jedna Wenus z Milo pozostała taką jaką ją znaleźiono i jest pewnie tém piękniejszą.

Dzieł nowych w przedmiocie sztuki zawsze jest wiele, chociaż znaczna ich część bywa powtórzeniem rzeczy znanych, lub obrobieniem tylko nienowego materiału. Najwięcej obiecujące (i dotrzymujące) są monografie pojedynczych artystów, przedsiębrane na miejscu ich pobytu przez zamiłowanych badaczy. One też cokolwiek świeższej i krytycznie obrobionej dostarczają treści.

Jako zręczne obrobienie źródeł znanych, można polecić historiją Apellesa przez młodego (syna Arsen'a) Henryka Houssaye. Jest to rzecz po francuzku, mile i umiejętnie do powszechnego smaku przyprawna. Doczekała się, mówią, drugiego wydania, ale tajemnice księgarstwa mogłyby odkryć tylko nową kartkę tytułową.

Zakończymy artystyczny przegląd charakterystycznym wcale szachrajstwem, godnem XIX wieku, który w nie obfituje. Wiadomo jak często w Londynie lub gdzieś w zapadnym kącie świata zjawiają się domy, różnym łatwymi przedsięwzięciom ofiarujące swe usługi i nadzwyczajne zyski. Otóż gdy zbrakło ludzi na którychby przemysł mógł się korzystnie egzercytować, zręczny jakiś człowieczek powiedział sobie że... zawsze grosza pozbawieni artyści mogliby być skłonni dać się choć powoli obdzierać.

Po dziennikach rozrzucono szumne ogłoszenie, iż w stolicy Anglii istnieje dom pod firmą G. Brandini (13, Nassau Street, Charles Street) i wspólnik jego A. Lindhay (4, Crown Court, Dean Street) które się podejmują umieszczać obrazy, a nawet je nabywają. Z ostatniej wystawy paryzkiej szanowni ci przemysłowcy zakupili kilka cennyj dzieł sztuki, zabrali je, wysłali i... zapłacili wekslem na dom bankierski w Paryżu, który, jak się okazało, wcale nie istniał. Zapewne w ten sposób tanio nabyte obrazy powędrowały do Ameryki; to przynajmniej pewna, że ani na Nassau Street, ani w Crown Court tych panów znaleźć nie było można. Ponieważ podobne figle odnawiają się, ze zmianą tylko firm i adresów, ostrożni po szkodzi Niemcy ostrzegają teraz, aby drugi raz złapać się nie dano.

Ponieważ łatwo na tytuł obiecujący a nowy dać się uwieść, pragnęlibyśmy przestrzedz tych, których uderzy obiecująca nazwa „Internationale Revue“ wydawaną w Wiedniu, aby z abonamentem poczekali, aż to dziecko podrośnie i sił nabierze. Pierwsze zeszyty jego były tak słabe, iż wcale do dalszych zachęcić nie mogły. Tytuły artykułów wprowadzić mogły zająć, ale wewnętrzna wartość bardzo licha. Potrzeba takiego Przeglądu w Niemczech jest powszechnie uczutą, ale dotąd nie udało się nikomu zaspokoić jej w sposób poważny. Zeszytowe pisma niemieckie albo są specjalne i ciężkie, albo znowu w sposób tak popularny i lekki redagowane, że chyba dla piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego służyć mogą ku rozrywce, w godzinach od północy i kuchni wolnych. Tego czem są Przeglądy francuzkie i angielskie, Niemcy nie mają wcale, a może w skutek jakiejś wady organicznej lub przymiotu swego mieć nigdy nie będą. Przynajmniej Internationale Revue niewiele w tém obiecywać się zdaje.

Każdy zeszyt tego początkującego zbioru sprzedaje się osobno, a kto jeden nabędzie, nie ma już wcale ochoty do drugiego. Być jednak bardzo może iż się i z tego coś wyrobi... byle Przegląd żył, bo życie wiele uczy, a doświadczenie nabyte najtrafniejszą jest ulepszeń wskazówką.

Antoni Kątski.

Warszawa znowu cieszy się gościem, który po niebytności kilkanaścieletniej przybywa do nas, dla przypomnienia się mieszkańcom tutejszym zawsze umiającym oceniać każdy talent, każdą naukę lub gorliwe







znajdują się w rękach wszystkich, w ogóle jednak stały się raczej dziecinną zabawką, nie zaś uświęconą przez zwyczaj pamiątką.

Nawet święcone, w wyższych nadewszystko warstwach, ulega coraz radykalniejszym przemianom. Najprzód pojawił się na stole wielkanocnym, obok zimnych potraw, gorący rosół; potem zaczęto odgrzewać mięsiwa, a nareszcie w niektórych domach święcone stało się parafianstyczyną, w innych zbytkiem, jeszcze w innych źródłem cborów, i... dano mu pokój.

Niebyśmy nie mieli przeciw tym nowym ideom, gdyby one były zwiastunami prawdziwego postępu, gdyby w miejsce bab zawitały do nas maszyny rolnicze, w miejsce długiego szeregu wędlin książki pożyteczne; ale nim to nastąpi, nie przestaniemy powtarzać: szkoda zwyczajów wielkanocnych!

Przedstawimy jednak dobrą stronę tych poetycznych zwyczajów, niepodobna pominąć i ujemną. Święcone u klas pracujących, a mianowicie u naszych rzemieślników, przechodzi nierzadko w nadużycie. Rzemieślnik z ujmą wygod, z zaniedbaniem koniecznych potrzeb, odkłada ciężko zapracowany grosz, aby go wydać potem na święcone, które nieraz przez parę tygodni zjadać musi, jeżeli mu uczylni sąsiedzi nie dopomogą. Ta zresztą nieoględność w całym postępowaniu naszego rzemieślnika się przejawia. Zaledwo kilku ich wskazałbyśmy mogli którzy się dobili jakiego takiego majątku lub uznania; inni wegetują, nie myśląc o jutrze. Niebrak przecież pomiędzy nimi zdolnych ludzi, i mocno jesteśmy przekonani, że przy usilnym staraniu, stan ten mógłby się podnieść do stanowiska jakie zagranicą zajmuje. Ale korporacje cechowe, żelazną prawicą tamujące wszelką samodzielną, więc tu może niż gdzieindziej stoją na zawadzie rozwojowi przemysłu...

## O estetycznym wychowaniu kobiety.

Wykład publiczny, miany w auli Szkoły Głównej, dnia 29go marca 1867 roku,

przez  
prof. dr. Henryka Struve.

(Dalszy ciąg.)

Na poparcie powyższych zdań i aby dać dowód, że nie wymarzyłem sobie własnego obrazu o duchowych dążnościach i przyrodzonym usposobieniu kobiety, sprzecznym z jej własnym poczuciem, niech mi wolno będzie odwołać się tutaj do zdań o kobiecie, wypowiedzianych przez jedną z naszych najrozumniejszych kobiet, która nie ograniczała się nigdy na samych zajęciach domowych, lub na pielęgnowaniu w sobie tylko tych stron ducha, jakie w kobiecie zwykle sama natura rozwija, lecz która przeciwnie, z uznania godną i rzadką w kobiecie wytrwałością umysłu, przyswoiła sobie zasób najgłębszej wiedzy człowieka, wiedzy filozoficznej. Pani *Ziemiecka*, o której mówię, wypowiedziała w swoim dziele „O wychowaniu kobiety“ następujące słowa, charakteryzujące najtrafniej naturę i przyrodzone usposobienie płci pięknej:

„Kobiecie tęskno, mówi pani *Ziemiecka*, w rzeczywistym świecie; dlatego, jeśli tylko próżność nie stłumi jej serca, będzie zawsze lubiła religijne dumania, wspaniałą poezją, wszystko słowem, co ożywia, idealizuje rzeczywistość. Ona szuka, pragnie świata nadmysłowego, jej miłość nawet jest skutkiem tego dążenia.“ Uważajmy kobietę w różnych stanach: wszędzie, na każdym stopniu związku towarzyskiego, ona jest zawsze tą samą, zawsze żyje w illuzjach.“ „Kobieta jak dzieci kocha swoje ideały, swoje ułudy, ona je wypłakała, łzami uwieczniła w pamięci; tak często się niemi pieści, tak często ze czczości zewnętrznej wraca do nich, że one otoczyły już jej umysł jakby obłok mglisty, który właściwej barwy przedmiotów ujrzyć nie pozwala.“ „Wszędzie kobieta jest poetką rzeczywistego życia, wszędzie żebraczką miłości.“ „Dzieł systematycznych, czysto rozumowych, mówi dalej pani *Ziemiecka*, przez kobietę pisanych nie mamy wcale. Do sztuk pięknych ma wrodzoną skłonność, lubi i czuje poezją, lecz po większej części jest to bierne zachwycenie. Twórczość estetyczna rzadkim jest u niej darem, bo tworzenie dzieł sztuki wymaga rozumu, systematyczności, porządku, a w tém kobieta zwykle nie wy-

równywa mężczyźnie. Jeśli celuje w poezji, odznacza jej dzieła charakter liryczny, osobisty. Dramat doskonały, energiczny i pełen rzeczywistości poezji, nigdy nie był dziełem kobiety.“ A to wszystko wynika z tego, że w kobiecie uczucie przewyższa wszelkie inne władze duszy. „Uczucie, mówi również pani *Ziemiecka*, ma daleko rozleglejsze panowanie w kobiecie, jak rozum. Z tej przewagi wypływają wszystkie jej słabości i przymioty.“

Do takiej charakterystyki natury niewieściej dojdzie z pewnością każda kobieta, która podobnie jak pani *Ziemiecka* ze znajomością psychologii zastanawia się nad samą sobą. A umyślnie opieram się w tym względzie na zdaniu tak rozumnej kobiety, aby przekonać pleć piękną, że memi zdaniami nie kieruje żadna zazdrość mężka, nie chcąc dopuścić kobiet do współzawodnictwa na jednym i tém samym polu działania.

Uczucie, piękność, ideały są zatem żywiołem kobiety; w prawidłowym wykształceniu tych przyrodzonych wymagań i zdolności leży cała tajemnica jej wychowania.

Że wreszcie takie a nie inne jest przeznaczenie kobiety, to również łatwo stwierdzićby można całą historią kobiet, ich działaniem w życiu i towarzystwie, ich udziałem w naukach i sztukach pięknych. Przerzućmy karty cywilizacyjnego rozwoju ludzkości, a przekonamy się, że najpotężniejszy wpływ jaki kobieta na ten rozwój wywierała, był zawsze natury uczuciowej, estetycznej; zawsze kobieta miała w historii to wzniosłe zadanie, by uszlachetniać nieokrzesanego mężczyznę, dumnego ze swej siły fizycznej, podnosić jego ducha ku wyższym, idealnym dążnościom, rozżarzać w rodzie ludzkim ową iskrę boskości, która pod popiołem bytu materialnego tak łatwo nazawsze zgasnąćby mogła.

W czasach pogaństwa kobiety jako wyrocnie przedstawiały obecność bogów na ziemi. *Pytia* stanowiła o losach Grecji, *Walkyryje* prorokowały ludom germańskim, a u nas *Wanda* była w bajecznych czasach objawem idealnych dążności narodu. W historii nawrócenia pogan do chrześcijaństwa, stoi prawie zawsze na czele harodu święta królowa: *Klotylda* we Francji, *Olga* na Rusi, *Dąbrowka* na Szlązku, *Jadwiga* w Polsce. A cóż dopiero mówić o samém chrześcijaństwie, gdzie ideał kobiety znalazł najświętsze i najczystsze urzeczywistnienie! Tutaj prawie każdy wielki mąż, każdy geniusz prawdziwy, zawdzięcza połowę swej zasługi, to znaczy wzniosły połot swego ducha, idealizującemu wpływowi kobiety, to matki, to córki, to siostry, to kochanki; tutaj mógł jeden z nowszych pisarzy o kobiecie, *Eugeniusz Pelletan*, śmiało powiedzieć: „Niema żadnego prawdziwego arcydzieła ludzkiego, na którego ostatniej stronie nie można było dopatrzeć się podpisu kobiety.“

Ta misja kobiety uszlachetniania i idealnego podnoszenia rodu ludzkiego przedstawia się najjaśniejszemu w potężnym jej wpływie na sztuki piękne, literaturę nadobną i rozwój smaku estetycznego.

Sztuki piękne same przez się objawiają ową idealną dążność, i dlatego kobieta znajduje w nich z natury swojej największe upodobanie. A chociaż historia udziału kobiet w sztukach pięknych wykazuje, że czynna ich rola w ogólnym rozwoju sztuki jest bardzo mała, tak mała, że jeden z najznakomitszych nowszych badaczy historii sztuki, *Wilhelm Lübke* (\*) powiedział, że możnaby wykreślić zupełnie artystki z historii sztuki, a jej wspaniała świątynia pozostałaby niewzruszona i straciłaby tylko kilka nadobnych upiększeń i arabesków, — pomimo to jednak pośredni wpływ kobiety na rozwój piękna jest tak potężny, że ten sam historyk sztuki wyznaje, iż lubo artystki małe mają znaczenie w sztuce, ale z tém wszystkiém historia sztuki obróciłaby się w próżną i bezbarwną nicłość, gdyby z niej chciano usunąć kobiety, nie te co wiersze pisały i malowały, ale te, co podawały temata do tylu precudnych poezyj, co były wcielonym ideałem dla tylu genialnych artystów. Wpływ zaś tych ostatnich na rozwój sztuk pięknych jest najpotężniejszy i przewyższa stokroć wszelki udział czynny.

(\*) *Lübke, Die Frauen in der Kunstgeschichte*. 1862. Pierwszym który napisał historią czynnego udziału kobiet w sztuce, jest prof. akademii sztuk pięknych *Dr. Ernest Gohl, Die Frauen in der Kunstgeschichte*. 1858. Dziełko to zaleca się szczególnie przez to wszystkim estetycznym i artystycznym paniom, że udział kobiet w historii sztuki połączony w nim został z celem napisania historii sztuki dla kobiet.

Czémże byłyby poezya, malarstwo i muzyka bez kobiety? Czy *Dante* byłby *Dantem* bez swej *Beatryczy*, a *Petrarka* *Petrarką* bez *Laury*? Ież *Boccaccio* i *Tasso*, *Kamoens* i *Kalderon* zawdzięczają kobietom! Czysta piękność i muzyczna wzniosłość jaka cechuje postacie *Michala Aniola*, tkwi w jego idealnej miłości do znakomitej *Wiktoryi Kolonny*, która go prócz tego natchnęła do owych rzewnych sonetów i piosneczek, dopełniających tak harmonijnie artystyczny zawód tego wielkiego mistrza. *Rafael*, *Murillo*, *Holbein* i w znacznej części *Coreggio*, *Tycyan* i wielu innych zawdzięcza swoje szczytne stanowisko w rozwoju piękna genialnemu umysłowieniu ideału kobiety. Czyby *Madonna Rafaela* mogła być tak świętą i czystą, a postacie *Coreggia* i *Tycjana* tak powabne i żywe, gdyby na ziemi, wśród swego otoczenia, nie znaleźli podniety do wypieszczenia podobnych ideałów? A czémże byłyby wieki średnie bez kobiety? Cała romantyka tego czasu, pielęgnująca w sobie tyle zarodków estetycznych, które aż po dzień dzisiejszy są czynnikami rozwoju sztuki, wytworzona została przez potężny wpływ kobiety na uczuciowe usposobienie mężczyzny, na ich poezją i wymagania estetyczne. W najnowszych zaś czasach, czyż nie jest powszechnie wiadomem ile genialny *Goethe* zawdzięczał swej matce, a *Schiller* swej kochance i żonie? *Mozart* przyswoił sobie owę rzewność i delikatność uczucia, którą w nim podziwiamy, w skutek prawie ciągłego obcowania z siostrą i żoną; a nawet *Beethoven*, ów nieszczęśliwy mizantrop, co z rozpaczą że utracił słuch, chciał sobie życie odebrać, wyznaje że najpiękniejsze temata jakie w tym czasie w sercu jego zabrzmiały, spowodowane zostały przestawianiem ze szlachetną i estetycznie wykształconą kobietą. (\*\*)

A jak tu największe genjusze poezji, malarstwa i muzyki stały się tém, czém są tylko w skutek udziału kobiety, tak jeszcze po dziś dzień kobiety wszędzie wywierają najpotężniejszy wpływ na cały estetyczny stan społeczeństwa, na wszystko co należy do upiększenia i idealizowania życia. Któryż artysta, tworząc dzieło sztuki, nie miałby względu na sąd tej lub owej kobiety? który poeta nie dba przedewszystkiém o to, aby zjednać sobie uznanie płci pięknej?

Literatura nadobna, poezye, powieści i romanse stały się dzisiaj codziennym chlebem duchowym dla każdej kobiety czytającej. Roboty ręczne, ubranie, upiększenie osoby i domu, zmuszają każdą kobietę do ciągłego wydawania sądów estetycznych, sądów o piękności i harmonii różnych rzeczy. Niema się tedy czemu dziwić, że kobiety prawie wszędzie i zawsze były głównymi przedstawicielkami smaku estetycznego. Szlachetne kobiety, posiadające prawdziwe i głębokie pojęcie piękna, wywołują zawsze z serca meżkiego najwznioślejsze idealne dążności i obudzają w niem chęć i siłę do urzeczywistnienia najpotężniejszych pomysłów. Przecięż i słońce wiosenne, ogrzewające zimne łono ziemi, rozbudza w niem bogactwo różnobarwnych kwiatów, owych marzeń i ideałów ziemi. Ale zato kobiety ze smakiem zepsutym, z obyczajami lekkimi, zawsze wywierały wpływ najszkodliwszy na cały stan literatury i sztuki.

Nie byłoby rzeczą trudną przytoczyć na to, gdyby czas pozwolił, liczne przykłady z historii literatury i sztuki. Ale już na podstawie dotychczasowych wywodów śmiało wypowiedzieć można, że stan literatury nadobnej i sztuk pięknych zależy głównie od estetycznego wykształcenia większej części kobiet, od ich smaku i krytyki, od ich poetycznych i artystycznych wymagań. Każda świetna epoka literatury lub sztuk pięknych, wyradza się tylko pod wpływem szlachetnych i estetycznie wykształconych kobiet; ztąd grono podobnych kobiet jest po większej części podstawą, niby koniecznym warunkiem, dla rozwoju najwyższych geniuszów każdego czasu. Przeciwnie wszelki upadek literatury i sztuk pięknych daje się wyprowadzić z braku szlachetnych kobiet, zdolnych wywierać wpływ idealizujący na mężczyzn.

Oto znaczenie kobiety w historii! oto pole na którym samodzielną pracą nieskończenie wiele dokonać może! Niech każda kobieta wie, że od jej sądu estetycznego, od jej miłości dla literatury i sztuki,

(\*\*) Zobacz: *Reliquien von Ludwig van Beethoven*, w *Banck'a Literarisches Bilderbuch*, 1866. Tom III, str. 351.



od jęj uszlachetniającego wpływu na płeć męzką, zależy prawdziwa cywilizacja rodu ludzkiego, zależą wszelkie wniosły i genialne pomysły męczyzn. Niech każda w takim idealizującym wpływie na życie i rzeczywistość widzi swoje prawdziwe przeznaczenie, a żadna nie będzie potrzebowała narzekać, iż nie może niczego wielkiego dokonać, bo będzie wiedziała, że ona tworzy atmosferę, w której się wszystko wielkie i wniosły wyradza.

Ale dobrze, powie wielu, to istotnie jest przeznaczeniem i zadaniem kobiety; lecz jakże je w praktyce urzeczywistnić, jak zastosować te idealne wymagania do codziennego życia kobiety, do jęj koniecznych potrzeb i warunków praktycznego bytu?

Na to pytanie odpowiadamy: właśnie to wszystko daje się w praktyce urzeczywistnić, daje się połączyć z całodziennym życiem kobiety, przez jęj estetyczne wychowanie, przez wskazanie dla nięj praktycznej działalności około tego wszystkiego, co należy do upiękшення i idealizowania życia ludzkiego, od najprostszęj robótki ręcznej i galanteryjnej, aż do czynnego udziału w poezji, malarstwie i muzyce.

Wymaganie estetycznego wychowania kobiety wznowionem zostało w nowszych czasach przez znakomite dzieło *Micheleta*, *La femme*, Paris 1859. I *Michelet* upatruje właściwe przeznaczenie kobiety w jęj estetycznym i idealizującym wpływie na stonki ludzkie. Lecz środki jakie do praktycznego osiągnięcia tego celu podaje, tchną taką nieoznaczoną poetycznością, są tak eteryczne i romansowe, że ich zapewne ani żaden poważniejszy pedagog, ani żadna matka do życia nie zastosuje.

*Michelet* przedewszystkiem dowodzi, że kobięta stworzoną jest wyłącznie aby była żoną i matką i że nieobjęta rodziną, jest niczēm. Nie dozwala zatem kobięcie na żaden obszerniejszy zakres działania w ogólnych idealnych dążnościach rodu ludzkiego. Prócz tego wytworzył sobie o kobięcie obraz tak powierzchowny, nie wnikający w niczēm w tajniki serca niewieściego, w jego najszlachetniejsze wymagania i dążności, że najwyższy ideał kobiety upatruje w marnęj próżności, kłiwęj poezji i zniebiesiałem próżniactwie. Kobięta jest dla *Micheleta* przez całe życie dzieckiem chorowitem, istotą słabą i kapryśną, potrzebującą zamknąć się w domu i przestawać wyłącznie tylko z mężem, aby się nie rozpierchła zupełnie i nie stała się motylem ulatującym z kwiatka na kwiatek. „Boże, uczyni mnie piękną,“ to według *Micheleta* powinno być codzienną modlitwą kobiety, gdyż tylko pięknoscią swoją może wywierać wpływ na męczyznę.

Może takie próżne i wietrzne są kobiety francuzkie, z których *Michelet* swój ideał wytworzył, lubo i one z wielką stanowczoscią zaprotestowały w swoim czasie, przeciw podobnie dziecinnemu ich traktowaniu; ale zawsze taki mąż światły jak *Michelet* mógł być się zdobyć na szlachetniejsze pojmowanie kobiety i jęj przeznaczenia. Do wydania zresztą podobnych poglądów nie potrzeba *Micheleta*, bo już przed nim inni francuzcy pisarze mniej więcej to samo utrzymywali, jak np. *Montesquieu*, dowodzący że kobięta przez całe życie nie jest niczēm innem, tylko dzieckiem przyjemnem; *Rousseau*, że jest przedmiotem zachwytu dla męczyzn; *Lammenais*, że jest machiną do uśmieszania się.

Takie wychowanie estetyczne, pielęgnujące w kobięcie jęj ujemne strony, może być istotnie tylko jaknajszkodliwsze. Każda kobięta z natury swojej posiada dostateczną skłonność do nieoznaczonych marzeń poetycznych, do powierzchowności i próżności; tego wszystkiego nie trzeba podniecać przez wychowanie romantyczne, wśród kwiatów i gaików.

Mając na widoku takie wychowanie estetyczne, większa część nowszych pedagogów i kobięć piszących o wychowaniu płci żeńskiej, utrzymuje że nie należy w kobięcie wcale pielęgnować strony estetycznej i uczuciowej, gdyż ta sama przez się, bez udziału wychowania, w każdej kobięcie się rozwija, lecz przeciwnie, że trzeba kształcić rozsadek i rozum kobiety, żeby był dopełnieniem strony estetycznej, tamą przeciw wszelkim wygórowanym wymaganiom romantycznego uczucia.

Ale nie sądzimy by takie *przeważne* kształcenie rozsądku i rozumu płci żeńskiej miało się przyczyniać do rozwiązania jęj właściwego zadania w ludzkości.

Ze nie może być mowy o *zupełnem* zaniedbanu

tęj strony umysłu niewieściego, to już z tego wynika, że kobięta, posiadając, jak i męczyzna, rozsadek i rozum, powinna być tak wychowaną, aby z tych władz umysłowych w należyty sposób skorzystać mogła. I dlatego nietylko jest rzeczą dobrą, lecz niezbędnie konieczną, aby obznajmiano płeć żeńską z najważniejszym materiałem wiedzy ludzkiej, aby ją uczono języków i historii, nauk przyrodzonych i matematyki. Bez takiego zasobu nauki i wiedzy, kobięta nie mogłaby nigdy wyrobić sobie samodzielnego stanowiska w społeczeństwie, jakiego dla nięj pragniemy.

Z tego wszystkiego jednak bynajmniej nie wynika jeszcze, aby to wykształcenie rozsądku i rozumu miało być głównym czynnikiem w wychowaniu kobiety. W ogóle nie sądzę, aby zdrowe i naturalne poglądy na wychowanie mogły doprowadzić do zdania, że należy w wychowawcu kształcić i rozwijać tylko to, na czēm mu zbywa, do czego nie ma przyrodzonego daru, a znowu z drugiej strony nie zwraca uwagi na to, co wychowaniec z natury swojej posiada.

Prawdziwe wychowanie nie sprzeciwia się nigdy naturze i uzdolnieniu wychowawca, nie zwraca przeważnej uwagi na to, co natura przeznaczyła do słabszego rozwoju, a nie zaniedbuje tego, co według swęj przyrodzonej potęgi powinno dojść do najwyższego rozkwitu; lecz owszem prawdziwe wychowanie *kieruje* tylko rozwojem przyrodzonych zdolności wychowawca, a zwraca właśnie na to najbardziej potrzebne oko, co jest jego wybitną cechą i najwyższą potęgą przyrodzoną. Przecież tylko z takich zasad wychodząc, kształcimy w płci męskiej przedewszystkiem rozsadek i rozum, do którego posiada większe uzdolnienie, a nie uczucie, na którēm mu często zbywa zupełnie.

Jeżeli tedy, według powszechnego uznania, w kobięcie przeważają *uczucie* i *fantazja* nad rozumem i rozsądkiem, to nie pojmujemy jak można wymagać, aby wychowanie zajęło się przeważnie wykształceniem ostatnich, a zaniedbało pierwsze. Przeciwnie, prawdziwe wychowanie kobiety zwróci przedewszystkiem swoje uwagę na odpowiednie, prawidłowe wykształcenie *uczucia* i *fantazji*, a będzie zawsze miało charakter przeważnie *estetyczny*, bo ten charakter wynika tak z natury, jak i z przeznaczenia kobiety.

Ale inna jest kwestya *jakie* powinno być prawdziwe estetyczne wychowanie kobiety? Jestto najważniejsze pytanie, które dopiero tutaj, po należytem przygotowaniu, postawić mogliśmy.

Dla rozwiązania tej kwestyi przedewszystkiem usunąć należy jedno wielkie uprzedzenie, które prawie powszechnie, a może u nas najwięcej, panuje, mianowicie uprzedzenie jakoby sztuki piękne i wszystko co się estetycznem zowie, należało do przedmiotów zabawy i umysłowej rozrywki; jakoby zdolność pojmowania sztuk pięknych, przyswajania sobie dzieł poezji, muzyki, malarstwa i t. d. nie wymagała żadnego specjalnego wykształcenia, ani żadnej pracy umysłowej, lecz rozwijała się sama przez się szczególnie w tych, którzy, jak to mówią, posiadają przyrodzony zmysł do piękna. Kontentujemy się po większej części tēm, że od poetów i artystów wymagamy pewnego estetycznego wykształcenia, pewnej *pracy* nad sobą, lubo wielu sądzi, że i do tego wystarcza jakiś wrodzony polot ducha, jakieś wygórowane i fantastyczne pomysły, niekrepowane żadną regułą estetyczną; co zaś do dyletantów w sztuce i większej publiczności, mającęj się tylko biernie przejąc poezją i dziełami sztuki, napotykamy prawie powszechnie zdanie, że częste czytanie rozlicznych poezji, patrzanie się na różne arcydzieła malarskie, a conajwięcej zwiędzanie niektórych znakomych europejskich galeryj obrazów, w końcu częste słuchanie muzyki w teatrze i koncertach, wystarcza w zupełności do zrozumienia sztuki, a nawet do wydania o nięj pewnego sądu.

A niestety! kobiety bynajmniej nie są wolne od owego powierzchownego pojmowania piękna!

(Dokończenie następi).

## ANTONI OLESZCZYŃSKI.

(Dalszy ciąg).

Posłuchał tęj rady Oleszczyński i pod okiem pana Richomme, wspierany jego uwagami, rozpoczął trudne i mozolne dzieło. Z początku szło mu opo-

rem, gdyż mistrz jego bardzo był wymagający i nie przebaczał najmniejszęj kropki położonęj nietrafności. Wykonawszy tę znakomitą pracę, przedstawiającą pochylonego człowieka, odbił ją nasz artysta na papierze: jeden egzemplarz posłał do Warszawy, drugi zaś ofiarował w darze księciu Ogińskiemu, bawiącemu podówczas we Florencji. Było to właśnie podczas wystawy. Ogiński, lubo nieproszony, oceniwszy piękne dzieło, podał je do konkursu.

Jakież było zdziwienie, a zarazem jaka radość skromnego artysty, gdy niezadługo potēm odebrał od akademii florenckiej dyplom na profesora 1ęj klasy, z zaszczytnym listem prezydenta i gazetą wspominającą o tęj godności! W tymże czasie, za toż samo mistrzowskie dzieło, przyznano mu w Warszawie złoty medal, lecz zarazem usunięto wsparcie, dla braku funduszy.

Artysta nasz nabrał wtedy zaufania we własnych siłach. W pracy akademickiej, pokonawszy już wszelkie trudności, czuł że zbadał najważniejsze tajemnice sztuki rytowniczej i że wszystko odtąd było mu łatwem.

W tym czasie właśnie wynaleziono w Anglii sposób rytowania na stali. Artysta nasz wypisał z Londynu blachę i, za radą Zeltnera, wykonał na nięj portret Kościuszki. Próba udała się wybornie. Oleszczyński, znając do gruntu sztukę rytowniczą, pokonał sam wszelkie trudności, jakie praca na stali przedstawiała. Dzieło to ofiarował Towarzystwu filotechnicznemu paryżkiemu, które zaszczyściło go za nie medalem i zaprosiło do grona swego.

Ówczesne wypadki nie dozwoliły artyście naszemu powrócić do kraju. Nie miał już ujrzeć staręj matki, ta bowiem umarła niezadługo, błogosławiąc nieobecny syna. Osiedłszy stale w Paryżu, wszedł w związki małżeńskie z panną Melanią Girault, zamieszkał przy ulicy św. Jakuba i odtąd rozpoczął ten szereg prac rytowniczych, które zjednały mu zaszczytne imię pośród obcych, a cześć i niewygasłą wdzięczność we własnem społeczeństwie. Znalazł on szczęście domowe, obok zacnęj i wzorowo gospodarnęj małżonki, obok dwojga dzieci, wrastających pod tkliwęm okiem rodziców. Przy tēm cichem szczęściu domowem, prace jego żywo postępowały, a natchnienie artystyczne dopisało mu wiernie. Potrzeba jednak pracowania na chleb powszedni dla rodziny, odrywała z konieczności artystę od ulubionych a mniej popłatnych prac w przedmiotach dziejów ojczystych. Podzielił przeto prace swoje na dwie części. Gdy zebrał dostateczny zasób piędzienny za pomniejsze obstalunkowe roboty, zabierał się do ważnego historycznego dzieła, (które miało mu przynieść więcej pracy na przyszłość, niż pożytku w chwili obecnej) i dopóty pracował nad niem, póki oględna żona nie przypomniła mu że *widai już dno woreczka*. Wtedy sumienny ojciec rodziny nakazywał milczenie artyście, rozpoczęta blacha szła w ką, czekając lepszych czasów, a Oleszczyński zabierał się do restauracji starych uszkodzonych blach, lub do kopiowania obrazów z galeryj, pod cudzēm częstokroć nazwiskiem, albo nakoniec do tworzenia starannych winietek, które miały zdobić amerykańskie banknoty.

W taki to sposób upłynęło mu na obcęj ziemi czterdzieści lat życia. Gromadząc przez długie lata ryciny, księgi, obrazy, słowem wszelkie archeologiczne pomniki, otoczył się w domu czysto artystyczną atmosferą. Dość rzucić okiem na ściany domu jego, aby poznać odrazu, że to dom artysty, gorącego miłośnika przeszłości, a obok tego uczonego badacza starożytności krajowych.

Wśród owych to drogich sercu jego pamiątek, przeżył artysta długie lata, czerpiąc w otaczającęj go atmosferze natchnienie do licznych prac, które śmiało zwać można rytowanemi poematami. Zajęty wyłącznie sztuką, w któręj widział nie ostateczny cel, ale raczej środek do służenia społeczeństwu, nie mieszał się nigdy w żadne stronnice spory, ale budował, znosząc cierpliwie cegielkę po cegielce. I Bóg błogosławił wyraźnie tęj budowli, z pod jego rylca bowiem wyszły prawdziwie piękne arcydzieła, godne pamiątek które je natchnęły i mistrza który je wykonał.

Liczba dzieł artystycznych Oleszczyńskiego dochodzi do trzechset z górą. My tu powiemy jedynie o pracach jego poświęconych przedmiotom krajowym, te bowiem w oczach naszych stanowią główną zasługę Oleszczyńskiego.



Jeszcze podczas siedmioletniego pobytu w Petersburgu, artysta nasz, mając ułatwiony wstęp do biblioteki, nagromadził, jakżeśmy wyżej mówili, wielką ilość zabytków historycznych. Później w archiwach warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, nareszcie w podróży, notował wszystko cokolwiek napotkał odnoszącego się do dziejów polskich, robiąc z tego kalki i przerysy. Niektóre z tych pamiątek rytował jeszcze w Petersburgu, zamierzając nadać im potem ogólny tytuł „Rozmaitości polskich“. Te prace prowadził powoli ale wytrwale, o ile na to skromne zasoby pieniężne dozwalały. Tak posuwając się bez ustanku, doprowadził ten zbiór do kilkudziesięciu rycin, przedstawiających to wizerunki znakomitych mężów, to chwile ważniejsze z dziejów naszych, to miejsca pamiętne w historii, to stare pieczęcie królów, to fac-similia wielkich ludzi. W o-wym to zbiorze widzimy i wjazd posłów polskich do Paryża po Henryka Walezyusza, i spotkanie Zamojskiego z Maksymilianem, i ulubiony dom Stefana Czarnieckiego w Gardzienicach, i dom Kopernika w Frauenburgu, i wizerunki dawnych matron polskich, które wspierały nauki i sztuki. W układzie tych obrazów artysta ograniczał się przedstawieniem małej liczby figur, lecz zato każda postać koniecznie tu potrzebna; nie dojrząc nigdzie zamieszania, oko za pierwszym rzutem ogarnia cały przedmiot. Owa prostota w układzie, zjednała artyście słuszne pochwały wielkich mistrzów: Ingres'a, Scheffera, Verneta i innych. Ziomkowie, tak w kraju jak za granicą, przyklasnęli tym pracom; mało kto jednak wiedział, ile one trudu kosztowały. Pozbawiony wszelkiej pomocy, artysta pracował nad nimi po siedemnaście godzin dziennie, nawet nieraz o chłodzie i głodzie.

Nakoniec, w skutek zbytniego utrudzenia, naderwał sobie oczów i praca była mu coraz cięższą. Szczęściem że Bóg dopuścił nań gwałtowną chorobę, wymagającą obfitego upuszczenia krwi. Od tej chwili wzrok powrócił do normalnego stanu.

Prace naszego artysty, tak ważne i pożądane, stały się powodem, że nalegano na niego usilnie, aby zebrał wspomnienia o mężach, co słynęli pośród obcych i oddał je tak ryłcem jak i piórem. Odpowiadając na wezwanie, artysta nasz rozpoczął podwójną pracę nad rycinami i tekstem owych wspomnień, lecz dla braku funduszy, dzieło to nie mogło spieszenie postępować. Niespodziewany jednak zasilek przyszedł w pomoc naszemu rytownikowi. Generał Pac, który umarł podówczas w Smyrnie, zapisał mu testamentem 10,000 franków. Odebrawszy ten legat, Oleszczyński wydał przygotowane dzieło, ozdobione czterdziestu przeszło rycinami.

Ogół z wdzięcznością przyjął tę znakomitą pracę, która go obznajmiała z mnóstwem nieznanym dotąd imion i zdarzeń historycznych. Odtąd sława artysty coraz większego nabięrała rozgłosu. Tak z kraju jak i z Niemiec dobiegały go sprawiedliwe oznaki czci i wysokiego ocenienia. W chórze tych zasłużonych poklasków, milkły głosy zawistnej krytyki, czepiającej się lada drobnostek, byle tylko poniżyć prawdziwą zasługę i zaprzeczyć tak pochwale zdobytą sławę.

(Dokończenie nastąpi.)

## Ze świata muzycznego.

Poranek muzyczny p. Antoniego Kątskiego, przy współudziale panny Kwiecińskiej, oraz pp. Keler'a, Schultza i Gebelta.

Po latach czternastu niebytności w Warszawie, p. Antoni Kątski, chcąc przypomnieć się znowu naszej pamięci, urządził w zeszłą niedzielę poranek muzyczny w sali resursy Obywatelskiej. Mimo zniechęcenia już przez zbytek koncertów różnorodnych w tym sezonie, zebrało się jednak dość liczne grono wielbicieli gry pana Kątskiego, by nanowo podziwiać owe że tak powiemy żelazne jego palce i wykwinność wykonania. Co się tyczy mechanizmu, trudno dojść wyżej. Pan Kątski wszystkie odcienia, od najcichszego pianissima, do najpotężniejszego fortissima, z największą łatwością i spokojnością wykonywał; jego tryl, jego gamma i jego oktawy obu rąk, do najwyższego stopnia wykończone, wprawiają słuchacza w pewien rodzaj odurzenia, tak że sam sobie sprawy zdać nie może, czy to człowiek siedzi przy

fortepianie, czy jaka natchniona duchem maszyna to działanie sprawia, bo żaden ton z pod jego palców nie chybia i nie ginie.

Na początek odegrał p. Kątski nieśmiertelne Trio (z C min.) nieśmiertelnego mistrza — Beethovena, z towarzyszeniem skrzypców (p. Schultz) i wiolonczelli (p. Gebelt). Dzieło to, jedna z pierwszych kompozycji Beethovena, tchnące rzewnością i dziewiczą czystością uczuć geniuszu, wyszło cudownie z pod palców koncertanta; każdy też numer z wdzięcznością przyjęto. Chęć nas wzięła opuścić salę koncertową, by niczem nie zatrzeć wrażenia jakie na nas zrobiła tak wspaniała i z takim wykończeniem odegrana kompozycja. PP. Szultz i Gebelt z przejściem się wtórowali p. Kątskiemu, zdało nam się jednak iż cokolwiek zanadto poddawali się jemu, to jest iż za słabo było słyhać wtórujące głosy. W kompozycji tak polifonicznej jak Trio Beethovena, każdy instrument winien swoje śmiało wypowiedzieć, inaczej wiele figur ginie, przy silnym jak p. Kątskiego fortepianie. O ile nam też wiadomo, Andante z waryacjami powinno się grać bez *sordinów*.

Z własnych kompozycji grał nam p. Kątski najprzód dwie medytacje pod tytułem: Westchnienia i Szmer strumyka, Scherzo z 2ej symfonii, Fantazyę z opery Faust, a na zakończenie Improvizacyę na krakowiaki, i jeszcze nad program mazurka. Nie mamy nic przeciwko medytacyom; wolno każdemu medytować jak mu się podoba, ale nie pojmujemy w muzyce naśladownictwa głosów natury. Pierwszy numer, „Westchnienia“, to zresztą bardzo ładna i przystępna kompozycja; w Szmerze strumyka mniej dostrzegliśmy poezji, chociaż imitacya bardzo wyszukana.

Najwięcej wartości muzycznej posiada Scherzo z 2ej symfonii, pełne werwy i życia; odegrane z tą olbrzymią siłą jaką włada jego twórca, robi efekt niesłychany. Tryle i oktawy sypią się jak grad; zdaje się że to uragan w fortepianie zamknięty wydobywa się gwałtem z klawiatury. Podług tytułu, jest to wyjątek z symfonii pisaną na orkiestrę. Nie umiemy sobie zdać sprawy, jakim sposobem orkiestra podobny efekt wydobyć może; na to najmniej zdaje się potrzebny 12 bębnow wojskowych, by w fortissimo dojść do siły tryłów p. Kątskiego w oktavach.

Nastąpiła potem Fantazyja z opery Faust i Improvizacya na krakowiaki.

Z przykrością przychodzi nam tu wyznać spostrzeżenie jakie zrobiliśmy co do p. Kątskiego, że o ile jego egzekucya od lat 14tu nie straciła na werwie i sile, a nawet spotężniała jeszcze, o tyle znaczną w nim widzimy różnicę pod względem kompozycji. Jakkolwiek p. Kątski nigdy nie odznaczał się wielką starannością i wykwinnością harmonizacji, jaka cechuje nowszych mistrzów, np. Chopina, Schumana, Liszta, Henselta, a nawet Thalberga i Prudenta, (tak iż po kilku taktach znawca bez wahania się pozna czyjego one utworu), jednak przebijała się w nim zawsze większa staranność w układzie i treściowości artystycznej pod względem formy, jak tego dowodzą jego „Reveil du Lion“, lub wyżej wspomniane Scherzo i kilka z dawniejszych fantazyj, np. z Ernaniego i inne. Dziś daje nam p. Kątski w fantazyi z Fausta jakąś na zimno zrobioną lepiankę z pięknych wprawdzie, (bo Faust Gounod'a znakomitą jest dziełem) ale nielitościwie pozmiennianych motywów. Czyżby mechanizm zabijał ducha? Czyżby p. Kątski, olśniony blaskiem jakim go otacza jego wykończony i olbrzymi mechanizm, miał się wyrzec artysty? Zbyt mało pan Kątski ceni muzykalność Warszawy, jeżeli sądzi iż może nas zadowolić podobną improwizacyją z krakowiaków. Jeszcze niedawno grała panna Peschke krakowiaka Chopina, i słyszeliśmy wtedy ile poezji w krakowskim śpiewie się mieści i co artysta prawdziwy z prostego tematu ludowego w natchnieniu zrobić może. Cóż nam dał pan Kątski? Zagrał trzy krakowiaki jeden za drugim, upstrzone oktavami i gammami, położone wszystkie w tej samej tonacji na dwóch akordach, i nazwał to improwizacyją. Taką improwizacyją darowałyby można komuś poczynającemu, lecz od artysty sławnego w Europie spodziewaliśmy się czegoś więcej. To też p. Kątski, czy załem ruszony, czy chcąc za oklaski podziękować, zagrał w dodatku mazurka, który, jako ładna i pięknie odegrana kompozycja, wynagrodził nas choć w części za poprzednią improwizacyją.

Pomiędzy numerami fortepianowemi odśpiewał pan Keler arya z „Dinorah“ Meyerbeera i dwie piosenki Gumberta pod tytułem „Canzonetta neapolitana“ i „Moja chata“, zwykłym swoim, ulubionym przez publiczność sposobem. Panna Kwiecińska doła nam słyszeć arya z „Cenerentoli“ Rossiniego. W śpiewie panny K. widzimy wielki postęp; intonacya robi się pewniejszą, szczególnie w niskich tonach, gdzie zawsze była chwiejną. Przy starannych studyach, śpiewaczka ta może dojść do pięknego rezultatu, bo materyał jest po temu: głos śliczny, skala dość szeroka i łatwość wielka; niczego więc nie potrzeba od natury, i pozostaje tylko studyować siebie i drugih.

Fortepian użyty do tego koncertu pochodził z fabryki pp. Krall i Seidler. Najlepszą dla niego pochwałą będzie to, iż po takiej próbie ogniowej jaką przejść musiał żadnego nie poniósł szwanku. Głos jego piękny i jedyny poddawał się z giętkością wykończonego mechanizmu każdemu odcieniowi w uderzeniu koncertanta.

E. Kamia.

## ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Waleryi Morzkowskićj. (\*)

(Dalszy ciąg.)

Salon ten zajmował prawie całą obszerność domu; na trzy strony otwierały się wielkie balkonowe okna. Lampy brązowe, wyrobione według pompejańskich wzorów, paliły się gdziegdzie i nie rozpraszały zupełnie panującego mroku. Światło wschodzącego księżyca wciskało się do pokoju przez gałęzie jodeł, które, jak widma czarne, rysowały się tuż przy oknach i trącały gałęziami o szyby, przy lada wiatru powiewie. Pokój cały dziwną przedstawiał sprzeczność z tym leśnym krajobrazem. Ściany obite ciemnym adamaszkiem, zawieszane były kosztownymi obrazami; po rogach stały posągi z białego marmuru; stoły zasłane były rycinami, fotografiami, modelami posązków; fortepian, zarzucony nutami, stał otwarty; skrzypce leżały przy nim.

Wszystko razem pograżone było w tym artystycznym nieładzie, którego żadna harmonia zastąpić nie może. Widać zgromadzono w tym salonie wszystko co ulubionem być może dla wykształconego człowieka. Pustelnia ta była wytworną, a jednak wchodzącego do niej przejmowała jakaś groza tajemna. Przedmioty te, jakkolwiek piękne, były jedynym towarzystwem właściciela swego, może wszystkiemu co on ukochał, były mu rodziną i krajem, przyjaciółmi, słowem wszystkiemu. Mimowolny smutek ogarniał tutaj nieokreślonym czarem, jak gdyby boleść przyłgnęła do ścian i przesycała powietrze. Podniosłem oczy pełne ciekawości i współczucia, ale pierwsze spojrzenie na mieszkańca tego domu zmroziło współczucie.

Po za draperyą franek, wsparty na przeciwległym oknie, stał wysoki starzec. Był to ten sam człowiek, którego portret wyrzył się w pamięci mojej oddawna, tak młody, szczęśliwy, tak żywy, tak sympatyczny?

Czaszka jego wielka, kwadratowa, była prawie zupełnie naga, tylko z tyłu i ponad skroniami długie kosmyki młecznych włosów tworzyły niby koronę w około tego czoła, naznaczonego jakimś złowrogim piętnem. A jednak głowa ta srebrna i naga, miała jeszcze hardość rozpaczy, wznosiła się w górę, jak spiorunowany a nieugięty dębu wierzchołek, zdawała się uragać losom i ludziom, wyrazem przystygłej, lodowatej ironii. Rysy jego przemieniły się dziwnie, mięśnie powypięzały na twarzy, jak struny ogranego instrumentu. Twarz poorana w bruzdy i zmarszczki, świadczyła o minionych burzach i wyglądała jak bojowisko po walce, bo wszystko tam już było spokojne, nieruchome, zeszytywniałe pod tchnieniem rozpaczy. Usta straciły otwarty, wdzięczny uśmiech, a natomiast jakiś wyraz nieskończonego szyderstwa wykrzywił je i ścigał. Brwi gęste, lekkim zaledwie szronem

(\*) W przeszłym numerze Tygodnika, na str. 180, w szpalcie 2ej, wierszu 29 od góry, zamiast: *Tortinięgo*, powinno być: *Tortinięgo*.



przysypane, krzaczyste, najeżone, przecinały tę twarz niepospolitą zawsze, ale przykrą dla oka, jak ton fałszywym dla ucha. Pod nimi paliły się oczy niepokojnym blaskiem. Bo pośród nierachomej twarzy, której wyrazu sama śmierć bardziej wykrzywić i zeszywnić nie mogła, oczy jedne pozostały żywymi i żrenice żółtawe, jak żrenice drapieźnych zwierząt, płonęły dojmująco a jednak ponuro, przyćmione rozłożystymi brwiami, których ciemny kolor odbijał rażąco od bladej twarzy i śnieżnych włosów.

Wszystko w tej twarzy raziło kontrastem, rys jeden nie odpowiadał drugiemu; znać taką jaką była dzisiaj, nie wyszła ona z pod Bożej ręki, znać jakiegoś złowrogiego a przeciwnie potęgi rozerwały harmonią tego ducha i napiętnowały rysy przeciwnymi sobie brzdami.

Dziś znać było że walka minęła oddawna; twarz ta była zastygła jak lawa wulkanu, i od tej postaci fantastycznej wionął chłód grobowy.

Stałem na progu, zapatrzony w niego, niezdolny prawie słowa przemówić, a on, ujrawszy mnie, wynurzył się z półcienia firanki i postąpił kroków kilka, ale równie jak stary sługa zatrzymał chwilę na mnie wzrok zdumiony; dla niego także byłem widmem jego młodości. Lecz wrażenie to trwało chwilę zaledwie.

— Nie wiem czemu winienem, wyrzekł w końcu z obojętną lecz wytworną grzecznością, odwiedziny pańskie, ale w każdym razie wdzięczny jestem za przyjemność jaką mi sprawił śpiew pana. Masz piękny baryton i umiesz nim władać.

Głos jego był cichy, ale pozbawiony metalu i sympatycznego brzmienia, jak głos rozbitego dzwonu. Myśl jego wyraźnie odwróciła się odemnie, zapomniał może kto jestem, lub było mu to obojętnym. W tym człowieku wszystko zdawało się spaczone i popsute. Obchodził go śpiew mój tylko, ja wcale nie. Jednakże nie mogłem pohamować wzruszenia.

— Stryju, wyrzekłem zbliżając się do niego.

— Stryju? powtórzył z pewnym zdziwieniem, jakby przypominając coś sobie. A tak, powiedziano mi że jesteś synowcem moim. I cóż ztąd?

Dotknięty temi słowy, odparłem także chłodno:

— Po śmierci ojca mego, czułem się w obowiązku złożyć stryjowi moje uszanowanie i zdać mu sprawę....

— Więc brat mój umarł? przerwał nagle. Kiedy, dawno?

I jakiś cień bólu czy zdziwienia mignął po jego przykrzej twarzy; pozostał chwilę z pochyloną głową, ale nie mogłem z niej nic wyczytać, nic odgadnąć. Czy jaka ostatnia niezerwana struna zajęczała w jego sercu na tę wiadomość, którą rzuciłem mu tak nieogłędnie, sądząc że ją zna oddawna?

— Jaktó, zapytałem, czyż nie uwiadomiono stryja?

— Listy wszystkie palę nie czytając i nie widuję nikogo, odparł sucho.

Chwilę trwało pomiędzy nami milczenie. Próżno czekałem aż je przerwie; myśl jego zabłąkała się i poszła swoim torem, jak to się zdarza ludziom odwykłym od towarzystwa i tego koniecznego jarzma, jakie nakłada towarzystwo. Ciężko mi to milczenie.

— Powiniennem przeprosić stryja, wyrzekłem w końcu, chcąc je zerwać, za niewczesną godzinę moich odwiedzin; ale zbłądziłem wśród lasów.

Stryj wzruszył ramionami.

— I cóż to znaczy? odparł. Sprawiesz mi prawdziwą przyjemność twoim śpiewem. Czy nie chcesz powtórzyć mi tej modlitwy Mojżesza?

Tę prośbę nie dałem sobie dwa razy powtórzyć. Obecność i rozmowa urywana tego człowieka, wzrok jego niespokojny ciążył mi; nie wiedziałem jakimi słowami przemawiać do niego. Instykt ostrzegał mnie, że wszystko co powiedzieć, czuć i myśleć mogę, było dla niego również obojętne jak i ja sam.

Są rzeczy których młodość nigdy wyobrazić sobie nie zdoła. I ja, myśląc o stryju, obrachowywałem próżno myślą wszystkie fazy cierpienia, żalu, rozpacz: nie mogłem dojść nawet do tego grobowego spokoju, do tego zobojętnienia bez granic, które widne było w każdym słowie i ruchu tego człowieka.

Czułem przy nim coś naksztalt tego, co człowiek czuć może w obec ducha, istoty innej zupełnie natury. Ja wtenczas tak pełen byłem wiary, życia i siły, że byłbym walczył przeciw rozpacz, wątpieniu, szyderstwu; na każde żywe słowo znalazłbym odpowiedź. Ale jak wzruszyć martwą skałę, jak przywołać do życia to co już umarło? Niestać mi było na takie cuda, i mimowolnie ogarniony nieokreślonym niepokojem, rzuciłem się do fortepianu. Pierwsze dźwięki były mi ulgą, budziły mnie jakby ze snu przykrego.

Stryj mój rzucił się na miękki fotel o kroków kilka, by głos nie nazbyt blisko raził jego ucho; zapalił cygareto, z którego wonny dym rozszedł się w koło, i gotował się słuchać z całą uwagą melomana.

Śpiewałem, później stryj zażądał innych śpiewów, rozpytywał, pokazywał i przerzucał nuty, których stopy znajdowały się po etażerkach; ale mówił mi tylko o sztuce, jak gdyby między nami jedynym związkiem była modlitwa Mojżesza, jak gdybyśmy spotkali się przypadkiem, gdzieś w sali koncertowej, nieznanymi sobie wprzód i później nie mający się już spotkać w życiu.

Rozmowa jego była trudną i urywaną; luźne myśli płątały się samopas. Odwyk od formułowania ich w słowa; trzeba było gonić je, chwycić i wiązać, a jednak zdradzały wysoki, wieczny czynny umysł. Świat cały nie obchodził go w niczym, mógł zapaść się i zginąć, nie wywołując w nim żalu; ale świat myśli i wiedzy pozostał dla niego otworem. Bo nie zamykał się li tylko w muzykalnej sferze; zanadto wszechstronnie był wykształcony, by mógł gałęź jedną oddzielić od reszty wiedzy ludzkiej, sztukę jedną od jej sióstr starszych. Umysł jego rozległy ogarniał bystrym rzutem przeszłość i obecność, a żaden postęp artystycznego i uczonego świata obcym mu nie był. Widziałem na jego pulpicie rozłożone partycje najnowszych oper, na jego stole najświetniejsze naukowe dzieła.

Każdy na świecie czemsiś żyć musi. Człowiek ten, tak obumarły, żył także, ale już myślą tylko. Żadne uczucie, żadne wrażenie nie zadźwięczało w nim, nie zdradziło się brzmieniem głosu, promieniem spojrzenia, słowem niczym. Myśl jego była tępą głębszą, tępą rzeźwieszszą, że nie cniło jej żadne uczucie, ale razem miała jakąś oschłość i bezpłodność, traciła na doniosłości to, co zyskiwała na sile. Cóż urwanego, niedokonanego mroziło w nim mózg razem z sercem i zabijało współczucie. Znać jakaś straszna katastrofa moralna przerwała kiedyś logiczny rozwój jego istnienia i pozostawiła tylko na drodze życia powalonego rozbitka, ze strzaskanym sercem.

Człowieka tego odtworzyć trzeba było, jak owe twory przedpotopowe, odtworzyć do miary tego co zostało, a miara ta była olbrzymią.

Dzisiaj istniała w nim tylko zdolność użycia, epikureizm cyniczny i wykwitny razem, zaparcie się obowiązków jakie każdy ma względem społeczeństwa, obojętność dla ludzi, niewiara ogólna i wstręt do wszystkiego co tylko nie jest pięknem i harmonią.

To był moralny obraz mego stryja, takim odsłonił mi się w owej nocy, którą całą prawie spędziłyśmy razem, przeplatając ją muzyką.

Gwiazdy już bladły na wschodzie, gdy stryj spojrział na mnie i zobaczył iż mimo wszystko znużenie brało górę nademną.

— Już późno, rzekł, spoglądając na niebo. Idź spać, Maryanie; jeśli masz jakie interesa, odłóż je do jutra.

Zadzwoił; stary sługa ukazał się w progu i zaprowadził mnie do sypialnego pokoju na dole, gdzie już wszystko dla siebie zastałem przygotowane.

Byłem bardziej zmęczony moralnie niż fizycznie i jak zwykle bywa po dniu pełnym wrażeń, sen odbiegał mnie, myśl pracowała, zagadka życia tego człowieka nie dawała mi pokoju. Chciałem pytać o niego, zasięgnąć jakich szczegółów, a nie śmiałem. Poszanowanie zamykało mi usta. Zresztą niewiele się można było dowiedzieć od starego Michała. „Pan tak rozkazał, pan tak chce,” były to dla niego sakramentalne słowa, po za które nie wiem czy sięgała myśl jego.

— Czy zawsze stryj tak czuwa późno? pytałem.

— On nie zna snu, odparł stary; noce całe brzmią

jego skrzypce, lub słysząc jak równym, mierzonym krokiem przechadza się po swoim pokoju.

— I nie bywa tu nikt, nikt zgoła?

— Nikt a nikt. Pan pierwszy pochwalić się mozesz, żeś przestąpił próg jego pokoju.

— Jaktó, a mój ojciec?

— Pan mój widywał tylko brata w dolnym pokoju, gdzie pana najprzód wprowadził; tam przyjmuje tych z którymi konieczności widzieć się musi.

— Jaktó, i dla brata nie czynił wyjątku?

— Pierwszym wyjątkiem pan jesteś.

— Ale dlaczego?

Stary wzruszył tylko ramionami, przyczyny ucho-dziły bystrości jego; wierzył niemniej że istnieć muszą.

Długo bardzo myśl moja pracowała, aż wreszcie sen skłcił zmęczone powieki, sen gorączkowy, pełen majaczeń. Noc całą snuły mi się jakieś widma, jakieś dźwięki. Zbudziłem się dość późno. Ale już dnia tego podciągnięto mnie pod ogólne prawo, wprowadzono do dolnej sali. Tam załatwiłem ze stryjem bieżące interesa, odebrałem instrukcyje co do dalszego postępowania i zdumiałem się logiką jego zdania, bystrością poglądu.

— Bywaj zdrow, Maryanie, rzekł, kończąc przegląd papierów. Pierwszy raz wczoraj widziałem cię i nie sprawisz mi przykrości; nie radzę ci jednak ponawiać tej próby.

Jednakże ponawiałem ją, i stryj mnie przyjmował obojętnie wprawdzie, ale bez wstrętu. Stałem się wyjątkiem w jego życiu.

Nieraz wśród zimowych zamieci siedziałem noce całe w tym górnym pokoju; wicher wył wściekle około okien, jodły były gałęzmi o szyby zamarzone, ogień huczał na wielkim kominie, a białe posagi jak widma podnosiły się i w cień zapadały przy tępym migotliwym świetle.

Głos mój, wyrobienie artystyczne, czy już nie wiem co w końcu, znalazły łaskę u stryja, ale obejście się jego zachowało zawsze jakąś nieufność, jakby na drodze połączenia się z innym człowiekiem stawała instynktowa twoga, jak gdyby były dźwięki i słowa które lękał się usłyszeć, struny których nie chciał potrącać. Nigdy nie dał rozmowie toczyć się swobodnie, nigdy nie dał mi się zbliżyć do fortepianu i grać lub śpiewać coś, bez jego wyraźnej woli. Czułem to, i postępowałem z nadzwyczajną oględnością. Bądź jak bądź, jakaś nie sympatyczna wiązała mnie z tym dziwnym człowiekiem; był on dla mnie niepojętym, przykrym, rażącym, a jednakże drogim. Towarzystwo jego przyciągało mnie nieopisanym czarem, pomimo przymusu panującego zawsze między nami. Pomiedzy nim a resztą świata była jakaś niewidzialna, lodowa granica.

Stawałem się u niego coraz częstszym gościem. Olbrzymie brytany przywykły do mnie i przestały witać szczekaniem; koń mój poznał tę stromą ścieżkę pod górę i sam zwracał się w tamtą stronę. Powoli poznałem obyczaje i nawyknięcia dziwaczne stryja. On także lubił konie, ale w przejazdach swoich nie chciał towarzystwa, tylko czasem widziałem go czwającego na dzielnym wierzchowcu i włos jego biały, biegiem rozwiany, migał mi wśród leśnych zarośli.

Gdy wówczas trafiałem do niego, mieszkanie jego na górze było zamknięte. Nigdy bez niego i chwili jednej nie byłem w tym wielkim salonie, którego szczegół każdy budził moje ciekawość; zamykał go, jakby tam ukryte były tajemnice jego. Jeden może stary Michał, od młodości będący w usługach stryja, wiedział jakie szczegóły z jego życia, ale milczał uparcie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Pocziwy osieł.

(Bajka).

Z spuszczeniem uszami, z workami na karku, Pocziwy osieł żwawo wychodził z folwarku, A że naprzód nie patrzy, wpada w dół z zaprzagiem, Tak że go trzeba było wydobywać dragiem. Bije go Jan, Stach woła: „Mięj litość, sumienie, Osieł jest to łagodne, pocziwe stworzenie“.

— „Cóż że pocziwe, rzekł Jan, gdy głupie do kata, I sam siebie kalęczy i mnie figle płata.“